



ŻYCIE

UNIWERSYTECKIE

L A T

nr 3/4 (294/295) marzec/kwiecień 2018

WYDARZENIE

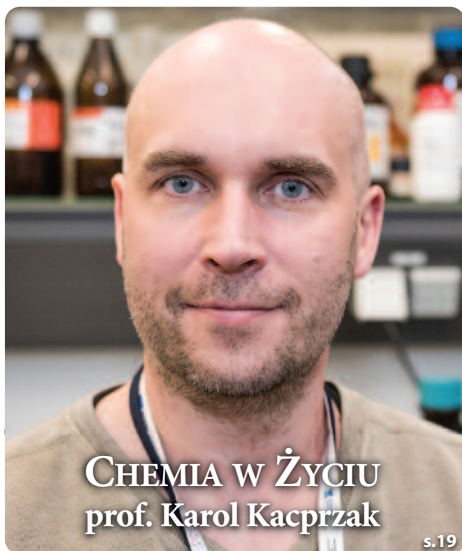
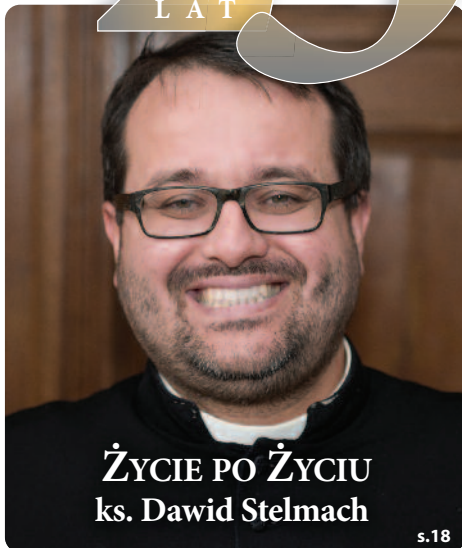
Fotograficzny skarb
na stulecie Uczelni

s.4

NAUKA

Zawierucha na tropie
lodowych niesporczaków

s.12



NASI PNĄ SIĘ W GÓRĘ



Prof. UAM dr hab. Sławomir Piontek, Dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej UAM został członkiem zwyczajnym Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk (European Academy of Sciences and Arts), w klasie nauk humanistycznych.



Dziekan Wydziału Anglistyki UAM, prof. zw. dr hab. Katarzyna Dziubalska-Kończak została członkiem komitetu redakcyjnego prestiżowego czasopisma językoznawczego „Folia Linguistica. Acta Societatis Linguisticae Europaeae”. Wydawcą czasopisma jest De Gruyter Mouton.



Małgorzata Piotrowska-Błochowiak, absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UAM została dyrektorem Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Poznaniu. Zastąpiła na tym miejscu wieloletniego dyrektora Jacka Łukomskiego. Pani dyrektor ma 42 lata i jak mówią o niej pielęgniarki – należy do nowej ligi menedżerów.



Wydział Prawa i Administracji ma powód do dumy. Amerykańska uczelnia Syracuse University College of Law okazała się bardzo gościnną. **Dr Julia Wojnowska-Radzińska** w czasie swojej wizyty wygłosiła wykład poświęcony prawu cudzoziemca do ochrony przed arbitralnym wydaleciem.



Katarzyna Kajukała, doktorantka Pracowni Ekologii i Monitoringu Mokrądek Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych UAM awansowała do finału konkursu FameLab. Organizatorem konkursu jest Centrum Nauki Kopernik i British Council. Przedsięwzięcie ma na celu popularyzowanie nauki przez samych naukowców. Finał odbędzie się 19 maja.



Dr Monika Bobako z Pracowni Pytań Granicznych otrzymała nagrodę w kategorii literatura za książkę pt. „Islamofobia jako technologia władzy. Studium z antropologii politycznej”. Nagrody przyznał Polski Portal Kultury.



Jakub Sajkowski, poeta i krytyk, absolwent Wydziału Neofilologii UAM zdobył wyróżnienie dla młodych twórców w dziedzinie „Literatura” za umiejętność poetyckiego pogłębiania tradycji i obrazów współczesności. Medale przyznaje redakcja „Głosu Wielkopolskiego”.

Kruszynka. Taka duża, a tak trudno ją znaleźć

Kruszynka kosztuje około pół miliona złotych. Czy pod nią czeka na odkrycie rdzeń meteorytu, który spadł na Morasku? Każde z tych zdań niesie ze sobą spory ładunek emocji, co trzeba przyznać na zimno. Bez emocji.

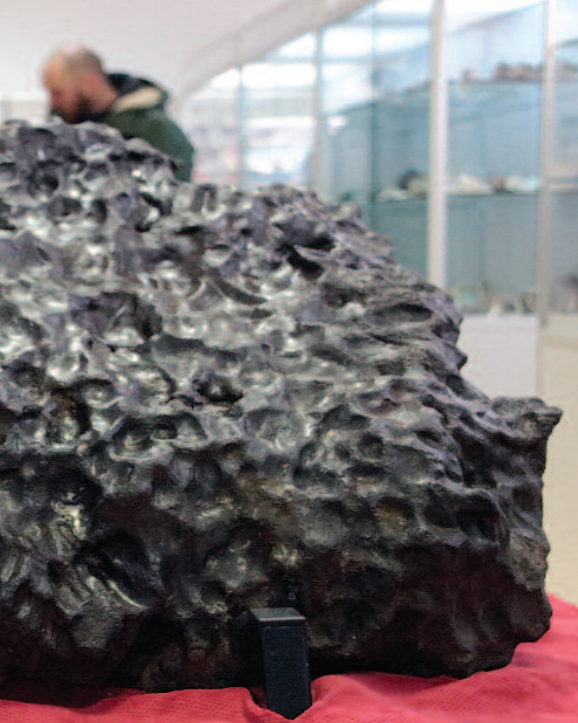
le kosztuje meteoryt? Według znawców tematu za jeden gram kosmicznego cacka na kosmicznym rynku trzeba zapłacić około 3 złotych. Jednak tak naprawdę cenę kształtuje podaż, ale nie tylko... Były w historii Ziemi spadki spektakularne. Były zdarzenia, które mroziły krew w żyłach. Wystarczy, że ktoś je opisał, a już stawały się przedmiotem pożądania, a ich cena rosła. Tak było choćby w przypadku meteorytów które uderzyły w dom, samochód czy... skrzynkę pocztową. Ba. Był czas, gdy za gram meteorytu płacono po kilkanaście tysięcy dolarów! Ko (s) miczne szaleństwo? Zejdźmy na ziemię. Do Moraska.

Jak już informowaliśmy, odkryta w pobliżu rezerwatu „Kruszynka” – tak nazwali ją odkrywcy, waży 271 kg. Jest o 10 kg cięższa od najcięższego w Polsce dotychczas znanego meteorytu, a znalezionego również na Morasku. Wydobyto ją w ubiegłym roku. O znalezisku poinformowano jednak dopiero w lutym 2018 roku.

Gdy na początku marca odwiedziliśmy profesora Andrzeja Muszyńskiego, w Muzeum Ziemi razem z prof. Edwardem Chwiedukiem z dumą prezentowali nam swój największy z dotychczasowych skarbów. Z ciekawością oglądaliśmy wówczas okaz znaleziony w 2012 roku. Owego ważącego 261 kg kolosa. Wyraźnie było na nim widać, jak kształtowała się ognista poduszka u jego czoła; można było określić, którą stroną uderzył o ziemię, czy poznać ślady, jakie zostawiły na jego strukturze płomienie.

Jest meteorytem orientowanym, a więc takim, który nadlatując z północnego wschodu nie koziolkował – mówi prof. Andrzej Muszyński. – *To nasza chluba i duma. Ma 4,6 miliarda lat. Meteoryt pokryty jest regmagliptami powstałymi w procesie wypalania. Niestety podlega także erozji. To obiekt metalowy, o pięknej kosmicznej strukturze, który tak naprawdę powinien być przechowywany w komorze próżniowej.*

W trakcie naszej rozmowy można było jednak odnieść wrażenie, że obaj naukowcy mówią o jednym, a myślami są już przy kolejnym meteorycie. Przy Kruszyńce. Trudno się dziwić? Wcale.



FOT. PRZEMISŁAW STANUŁA

Prof. Andrzej Muszyński wraz z prof. Wojciechem Stankowskim badania na terenie Moraska prowadzili przez lata. W tym czasie nie dość, że odkrywali to, co nieodkryte, to jeszcze udowodnili impaktowe pochodzenie kraterów meteoritowych. Warto też dodać, że do tej pory w okolicach Moraska wydobyto oficjalnie niemal 2 tony kosmicznych gości!

Często nas pytają, ile z meteorytów ma nauka – mówi prof. Chwieduk – Bo przecież ich skład jest taki sam. Otóż nie do końca. Z naszych meteorytów wydobyliśmy choćby nieziemskie minerały. Jeden z nich nazwaliśmy moraskoitem, a drugi zyskał nazwę od znakomitego badacza z Wielkopolski, twórcy podstaw najbardziej zaawansowanych technologii prof. Czochralskiego.

Teraz poznańscy naukowcy bardzo by chcieli, aby w zasobach Muzeum znalazła się również owa „Kruszynka” wydobyta tuż za granicami rezerwatu. Podobno w płytkim wykopie. Wszystko zależy jednak od ceny, a ta może sięgać pół miliona złotych. Pertraktacje ze znalazcami trwają i włączyły się do nich władze Uczelni.

Poprzedni meteoryt, który trafił do nas w 2012 roku został nam przekazany nieodpłatnie. Znalaziono go bowiem na terenie rezerwatu, a prace badawcze prowadzili zaprzyjaźnieni z nami poszukiwacze – mówi prof. Muszyński – Tąto odkrycie rozślawiło Morasko na świecie. Między innymi o jego wydobyciu nakręcono dokument, a brytyjska ekipa sama znalazła innego z kosmicznych gości. Z Kruszyneką jest inaczej.

Polskie prawo nie do końca reguluje kwestie własności meteorytów pochodzących w końcu z kosmosu. Stąd trudno się dziwić poszukiwaczom, że chcą na nich zarobić. Mamy jednak to szczęście, że to w Poznaniu odnaleziono największe tego typu obiekty w Europie środkowej i jedno z największych na świecie. Szkoda by było, gdyby Morasko utraciło status posiadacza największego meteorytu w Polsce tylko dlatego, że ktoś dał więcej pieniędzy lub miał większą siłę nomen omen przebicia.

Pocieszający wydaje się jednak fakt, że jest szansa na kolejne odkrycia, a atmosfera wokół meteorytów nie stygnie. Okazuje się bowiem, że w pobliżu odnalezionej Kruszyńki było rozlokowanych wiele niewielkich odłamków, ale urzędzenia badawcze miały też zarejestrować głębiej obiekt, który może być jeszcze większy i przez to... ciekawszy. O cenie nie wspominając. Takie informacje pobudzają naszą wyobraźnię. Bezsprzecznie.

Na szczęście od stycznia tego roku polskie prawo zabrania prywatnych poszukiwań z wykorzystaniem wykrywaczy metalu – mówi prof. Muszyński – To szansa także dla nas. Cały czas pracujemy nad moraskim skarbem i dochodzimy powoli do kolejnych wniosków.

Przykładowo, jako niezaprzeczalny uznano fakt, że poznański meteoryt spadł na Ziemię około 4 do 5 tysięcy lat temu. Tym samym naukowcy między karty bajek proponują włożyć opowiadania o „wielkopolskim bolidzie”, który miał spaść w okolicach Poznania w 1305 roku. Obecnie zaawansowane badania na temat moraskiego meteorytu prowadzi inna z członków kosmicznego zespołu – Małgorzata Bronikowska. Naukowiec już teraz zapewnia, że wyniki jej badań mogą spowodować sporo zamieszania...

Póki co, miło było patrzeć na zachwyt profesorskiego grona nad wypożyczoną Kruszyneką. Meteorogigant był w Muzeum Ziemi jeszcze w chwili, gdy oddawaliśmy numer do druku. Profesor Muszyński zapewniał, że negocjacje trwają i trzeba mieć nadzieję, że nie wyprzedzi nas Toruń czy Warszawa. Trzeba.

Na koniec jeszcze jedno. Warto pamiętać, że jak ktoś, gdzieś, kiedyś policzył, gram skały księżycowej przywiezionej przez załogę Apolla kosztował 78 tys. dolarów, a meteoryty spadają za darmo. Na Morasku już spadły. Wystarczy poszukać.

Krzysztof Smura



FOT. ŁUKASZ WOŹNY

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Tak krótko można by podsumować stan naszej wiedzy na temat istniejącego na Morasku Muzeum Ziemi. **Prof. Edward Chwieduk** – jego nominalny szef – jest dumny z faktu, że to w jego pieczy jest kilkadziesiąt kilogramów kosmicznego kruszcu.

Rocznica odwiedza nas kilka tysięcy osób, a skala zainteresowania zdaje się nie maleć – mówi.

W gablotach WNGiG można prześledzić nie tylko losy Ziemi. Można nawet konkretnie ocenić, w którym miejscu, w jakiej fazie jej rozwoju znajdowała się Polska. A wszystko to poparte infografikami i eksponatami, które leciały do nas gdzieś z kosmosu.



Fot. Łukasz Woźny

WYDARZENIA

- 4 | Fotograficzny skarb na stulecie Uczelni
- 6 | My – Polacy i Żydzi
- 7 | Wołanie na Puszczę
- 8 | W poszukiwaniu wzorcowej polszczyzny
- 9 | Porozmawiajmy o języku
- 10 | Organista rządzi Parlamentem

NAUKA

- 10 | XFEL, nauka jest wielka!
- 12 | Zawierucha na tropie lodowych niesporczaków

Z dr. Krzysztofem Zawieruchą z Zakładu Taksonomii i Ekologii Zwierząt UAM rozmawia Magda Ziółek

- 14 | Pomysłowy... jak człowiek z UAM
- 14 | HORYZONT 2020 z nowym projektem



- 15 | Niech żyje Życie
- 16 | Życie zamknięte w kamieniu
prof. Andrzej Muszyński
- 16 | Życie, czy takie doskonałe?
prof. Izabela Makałowska
- 17 | Życie na innych planetach
prof. Agnieszka Kryszczyńska
- 18 | Wzór na Życie
dr Bartosz Naskręcki
- 18 | Życie po Życiu
ks. Dawid Stelmach
- 19 | Chemia w Życiu (uniwersyteckim)
prof. Karol Kacprzak
- 19 | Życie, czyli bycie
prof. Jarosław Liberek
- 20 | Nowa strona Życia
Szukajcie nas na www.uniwersyteckie.pl
i zycie.amu.edu.pl

ROZNIKA MARCA

- 21 | „Przyłączcie się do nas!”
Marzec 1968 w Poznaniu

LUDZIE UAM

- 22 | Pani Dyrygent – Beata Bielska

OPINIE

- 24 | Centrum Szyfrów, a nie Muzeum Enigmy!

NASZ UNIWERSYTET

- 26 | Niepełnosprawność nie zmniejsza wymagań
- 27 | Integracja europejska na peryferiach

STO LAT

- 28 | Rektor z pistoletem (w kieszeni)
– wielki uczyony i społecznik, ale trochę i watażka: prof. Edward Lubicz
Niezabitowski, przyrodnik i lekarz

KULTURA

- 30 | Aula koncertowa
- 31 | Z FACEBOOKA



FOT. LUKASZ WOZNY

Na zdjęciu Elżbieta Kwiatkowska i prof. Piotr Korduba

Fotograficzny skarb na stulecie Uczelni

285 zdjęć z archiwów Elżbiety Kwiatkowskiej to skarb, jakich mało. Sprawa ich przekazania nabiera tym większej wagi, że wiąże się ze stuleciem naszej Uczelni, a co za tym idzie i Instytutu Historii Sztuki, do którego trafiła.

Niezwykle rzadko w archiwach znajdujemy fotografie z okresu międzywojennego, na których dominantą byłoby ludzkie. Zwykle stanowią oni pewien rodzaj uzupełnienia względem obrazu chwalebnego architektury minionych wieków. W tym przypadku jest odwrotnie i dyrektor Instytutu Historii Sztuki, prof. Piotr Korduba, ma powody do zadowolenia. *Dar przekazany nam przez panią Elżbietę Kwiatkowską jest niezwykle cenny, bowiem jest to swoista kronika tzw. objazdów zabytkoznawczych z okresu międzywojnia. Zapis aktywności studenckiej i ich opiekuna prof. Szczęsnego Dettloffa, jednego z założycieli Uniwersytetu Poznańskiego.*

Najstarsze ze zdjęć przekazanych w marcu Instytutowi nosi datę 1927 i wykonane zostało w Pelplinie. Zbiory przechowywane były w domowym archiwum Anieli Sławskiej, uczennicy prof. Dettloffa, a później trafiły do obecnej ofiarodawczyni. *Ciocia, wnuczka Marcelego Mottego, była osobą niezwykle ciepłą i serdeczną, pochłoniętą jednak swoją pracą. Miała ogromną wiedzę – opowiada Elżbieta Kwiatkowska – To jej staraniom zawdzięczamy między innymi obecny ołtarz w poznańskiej katedrze, który przywędrował do nas z Góry Śląskiej. Była autorką wielu prac naukowych i pracownikiem poznańskiego muzeum. Uwielbiała kino, teatr TV, książki, zwłaszcza historyczne, dobre kryminały – czytała*

po kilka na raz. Miała świetne poczucie humoru, była miła, skromna, niebywale dyskretna, zwłaszcza jeśli chodziło o pracę – nigdy żadnych muzealnych ploteczek.

Niemal trzysta zdjęć z archiwum Anieli Sławskiej było przechowywanych w prowizorycznych kieszonkach wykonanych z materiału i ręcznie haftowanych. *Być może wykonała je ciocia, chociaż powszechnie było wiadomo, że nie miała raczej zamiłowania do haftu – uśmiecha się Elżbieta Kwiatkowska.*

Wyprawy, które ilustrują zdjęcia, odbywały się rokrocznie. Studenci wyjeżdżali nawet na półtora miesiąca. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się zaczęły. Pierwsze wzmianki o wycieczkach naukowych pojawiają się w spisie wykładów z semestru 1930/31. Młodzi ludzie w towarzystwie ks. prof. Dettloffa wybierali się w najdalsze zakątki ówczesnej Rzeczypospolitej, ale bywało również, że wyprawy ruszały w Europę. Przykładowo, ze zdjęć wynika, że w 1937 roku zwiedzali Włochy, rok później Prusę Wschodnią, by w roku wybuchu wojny przebyć drogę z Poznania aż po Żółkiew.

Te „objazdy” były kontynuowane w okresie powojennym i trwają do dzisiaj. Nasi studenci również każdego roku poszerzają wiedzę, odwiedzając najdalsze zakątki Europy. *Byliśmy nawet w Nowym Jorku – mówi prof. Korduba – Proszę zauważyć, że profesor Dettloff organizował te wyprawy i pomagał*



w ich finansowaniu. Było to przedsięwzięcie niezwykle trudne logistycznie. Nie było wówczas stron z rezerwacjami w internecie, a komunikacja była rozwinięta w sposób nader skromny. Studenci spali więc np. na probostwach, w majątkach ziemskich. Jeśli trafili do hotelu to było niemal jak cud.

Opiekun grupy miał w zwyczaju nadawać swoim podopiecznym różne przydomki. Kategoryzował też studentów na grupy. Przykładowo, Aniela Sławska, nazywana przez profesora Super Angelicą należała do „grupy panien mądrych”. O grupie będącej w opozycji nic nie wiemy. Zdjęcia z okresu międzywojnia fascynują szykiem i elegancją. Doskonale dokumentują ówczesne trendy w modzie.

Na wielu fotografiach znajdujemy także postać księdza Dettloffa, który do mody miał stosunek dość nonszalancki. Profesor, który ukończył historię sztuki w Wiedniu, przeniósł wiedeńskiego ducha na poznańskie podwórko. Jak wspominali członkowie owych objazdów, panowała na nich niezwykle swojska atmosfera. Profesor, który nigdy nie nosił kolarzki, ani nie „zhańbił się krawatem”, był człowiekiem niezwykle otwartym. Dziś powiedzielibyśmy, że miał „otwartą głowę”. Ten niezwykle zasłużony człowiek stracił pracę na Uniwersytecie chwilę po śmierci Stalina.

Wiąże się z tym pewna anegdota – przytacza prof. Korduba – Otóż ulubionym miejscem spotkań profesora w okresie

międzywojnia była kawiarnia Dobskiego (późniejszy W-Z). Tam odbywały się między innymi nieformalne wykłady, a profesor miał tu swój stolik. Tę tradycję kontynuował w późniejszym W-Z przy ulicy Fredry. Otóż w dniu śmierci Stalina podekscytowany kelner poinformował profesora o tym niezwykle wydarzeniu, na co Dettloff równie podekscytowany miał krzyknąć: – to w takim razie dwa pączki poproszę!

Te pączki go pograżyły. Ktoś doniósł i musiał odejść z uczelni.

Fotografie ze zbiorów Anieli Sławskiej w świetnym stanie przetrwały wojenną zawieruchę i trafiły pod opiekę Maryny Płuchator z Pracowni Ikonografii IHS, która je teraz opisuje. W przyszłości trafią na wystawę, poświęconą stuleciu Uczelni.

Mamy to szczęście, że wiemy dokładnie, kiedy zaczęła się historia naszego Instytutu – mówi prof. Korduba – Z archiwów wynika, że 12 maja 1919 roku o godzinie 9.00 prof. Dettloff wygłosił inauguracyjny wykład, poświęcony twórczości Leonarda, Rafała i Michała Anioła.

Jeszcze jedna okrągła data wiąże się z przekazaniem skarbu. Otóż jak poinformowała nas ofiarodawczyni, w tym roku przypada stulecie urodzin Anieli Sławskiej. Słowem, wiele szczęścia naraz. Nic, tylko cieszyć się i oglądać.

Krzysztof Smura



My – Polacy i Żydzi

Temat ostatniej debaty akademickiej „My, Polacy, my, Żydzi” zgromadził tłum zainteresowanych. Miejsca zajmowano już pół godziny przed dyskusją i w Auli Lubrańskiego trzeba było otworzyć balkon, by wszyscy się zmieścili.

W debacie udział wzięli ze strony UAM prof. Katarzyna Kuczyńska-Koschany (WFPIK), dr Piotr Forecki (WNPiD), a ze strony UEP prof. Przemysław Deszczyński (Wydział Ekonomii) i prof. Tadeusz Kowalski (Wydział Gospodarki Międzynarodowej). Prowadził prof. Krzysztof Podemski, który poprosił, aby wyjść w dyskusji poza obecną sytuację polityczną, a także ostrzegł, że wszelkie wypowiedzi z sali, które nie będą się mieściły w kanonie kulturalnej wymiany zdań zostaną przerwane.

Obawy okazały się przedwczesne, a dyskusja wyważona. Pierwsze pytanie brzmiało: jak mamy o sobie mówić? Osobno czy razem? Kim jesteśmy? Prof. Deszczyński podkreślił, że razem tworzyliśmy kulturę polską i gdyby separować te określenia, kultura i nauka w Polsce byłyby bardzo ubogie. A więc mówić razem. Prof. Kuczyńskiej-Koschany zabrakło w tytule dyskusji słów „My, obywatele”. W Europie mało kto do końca wie, kim jest, bo tak mieszają się narodowości, a słowo „obywatele” ustawia wszelką mieszanekę etniczną na neutralnym, służącym porozumieniu gruncie. Prof. Kowalski powiedział, że w odpowiedzi na to pytanie będą zawsze i fakty i emocje, a jeśli są emocje, to konieczna jest wrażliwość na uczucia drugiej strony. Najostrzej zabrzmiała wypowiedź dr. Foreckiego: to Polacy określają miejsce Żydów w Polsce, a historia Żydów w Polsce to historia odmawiania im praw obywatelskich, to „pogrom wiszący nad głową”; nawet Holocaust posłużył Polakom tylko do włączenia Żydów we własny panteon ofiar wojny. Dyskusje o antysemityzmie czy naszym udziale w Holokauście nazwał sporami polsko-polskimi, nic nie mówiącymi o Żydach. Prof. Deszczyński, który wspominał o znaczeniu listu biskupów polskich; o tym, jak wielki wpływ na pojednanie ma gałązka oliwna, wyciągnięta nie przez sprawcę, ale przez ofiarę, w polemice zwrócił uwagę, że nie można zaganiać przeciwnika w róg, bo z tego wyniknie tylko bójka.

Czy jest jakaś specyfika polskiego antysemityzmu? – pytał prof. Podemski. Prof. Kowalski mówił o antysemityzmie tradycyjnym, którego kody zawiera polska religia (dopiero od połowy XX wieku Kościół katolicki przyjął, że to nie Żydzi są winni śmierci Chrystusa) i kultura oraz o antysemityzmie nowoczesnym, który rodzi się na tle ekonomicznym, z zawiści wobec tych, którzy dysponują kapitałem gospodarczym i społecznym. Prof. Kuczyńska-Koschany rozróżniła natomiast antysemityzm ekskursyjny (wyrzucenie Żydów – Wincenty Krasiński proponował wysłanie ich na Sybir), eksterminacyjny (zniszczyć ich) i pogromowy. Te dwa ostatnie spotkały się fatalnie w czasie II wojny.



FOT. PRZEMYSŁAW STANUŁA

Mówiła też o antysemityzmie rodzinnym, przekazywanym kolejnym pokoleniom. Polacy – wspomniała, powołując się na pracę Michaela Steinlaufa, amerykańskiego historyka – nie przyswoili sobie tak naprawdę wielkości i grozy Holocaustu, toteż dlatego możliwe były pogromy po II wojnie światowej (Kielce, Jedwabne czy 1968 rok). Prof. Deszczyński zwracał uwagę, że antysemityzm nie jest zjawiskiem tylko polskim: Torquemada, który spowodował wygnanie Żydów sefardyjskich, sam był Żydem; USA w czasie II wojny wcale nie otworzyły szeroko swych bram dla uciekających

z Europy Żydów; uniwersytet Harvarda i MIT dopiero w latach 70. zaczęły przyjmować Żydów; Francja miała swoją słynną sprawę Dreyfusa. Dr Forecki podkreślił, że polski antysemityzm jest głęboko zakorzeniony w kodach kultury i nie potrzebuje nawet obecności Żydów, a jego specyfiką jest silna próba jego wyparcia. Ma się dobrze (jak wykazały badania) – mówił – nie tylko w źle wykształconym Ciemnogrodzie, ale we wszystkich warstwach społecznych. Mówił też o wąskiej kładce, na której spotkali się w czasie II wojny Niemcy i Polacy – była to nienawiść do Żydów. Nie omieszkał też powiedzieć, że Uniwersytet Poznański jako pierwszy w Polsce wprowadził numerus nullus.

W dyskusji – jak we wszystkich dotychczasowych debatach – upatrywano remedium na wszelkie nieporozumienia w edukacji i badaniach naukowych i przytaczano liczne przykłady inicjatyw, mających ten właśnie cel – lekcje w szkołach, przyjmowanie studentów i doktorantów z Izraela, działalność koła miłośników literatury żydowskiej na UAM, konkurs piosenki żydowskiej. Z tezę dr. Foreckiego o chrystianizacji Korczaka przez Wajdę (ostatnia scena z filmu „Korczak”, gdy dzieci zamiast w obozie zagłady wysiadają na bajkowej łące) polemizowała dyskutantka, przypominając świadectwo Ireny Sendlerowej, że Korczak, chcąc zaoszczędzić dzieciom grozy, sam obiecywał im właśnie podróż do cudownego, ciepłego miejsca.

Głos zabrała także Alicja Kobus, przewodnicząca gminy żydowskiej w Poznaniu, która zwracała uwagę na liczne objawy pomocy i życzliwości ze strony Polaków, jakie napotyka. Przypomniała też z humorem, jak to gdy skarżyła się na dokuczanie w szkole, jej babcia mawiała: i proszę, prześladowaj, a co tydzień przecież kłękają przed Żydami w kościele.

Debata poruszyła wiele wątków, także gorzkich. Przewrotnym jej podsumowaniem wydają się słowa, usłyszane przy wyjściu, gdy jedna z pań zwracała się do drugiej: ale po czym oni poznają Żydów?! Przecież wyglądają tak jak my?

Maria Rybicka

Debata akademicka to wspólna inicjatywa UAM i UEP. Założeniem spotkań odbywających się naprzemiennie w obu uczelniach jest dyskusja o ważnych problemach współczesności. Debata ma być zarazem wzorem merytorycznych rozmów toczonych na wysokim poziomie intelektualnym. Następną debatę akademicką będzie poświęcona sztucznej inteligencji.

Wołanie na Puszczy

„Nie wyręczajmy przyrody, pozwólmy jej na trochę więcej” oraz „bez naszej ingerencji niektóre gatunki roślin i zwierząt wyginą bezpowrotnie” – oto dwa przeciwstawne światopoglądy, które starły się ze sobą w piątek 3 marca na Wydziale Biologii UAM. Konferencja: „Ochrona Przyrody Puszczy Białowieskiej. Ingerować czy nie ingerować w procesy przyrodnicze” zgromadziła szerokie grono biologów, ekologów i leśników: osób, którym stan puszczańskich lasów nie jest obojętny.

Dyskusja nie zawiodła uczestników, a atmosfera, mimo że miejscami bardzo napięta, sprzyjała jednak merytorycznej wymianie myśli. Takich spotkań potrzeba nam więcej – padały głosy z sali. W tym gronie jesteśmy w stanie wypracować kompromis – przekonywali.

Od kilku lat narasta w gronie przyrodników spór o metody ochrony tej najbardziej znanej polskiej puszczy. Jej unikatowy charakter, na który składają się m.in. wielkość, bardzo stare drzewostany oraz zwierzęta, których symbolem jest puszczański żubr, sprawiają, że dla wielu ochrona tego narodowego dziedzictwa staje się kwestią życiowych priorytetów. Kontrowersje wokół gradacji kornika drukarza, który od sześciu lat pustoszy białowieskie lasy, tylko spolaryzowały te poglądy. Jak zauważył jeden z prelegentów, nie można wykluczyć, że w najbliższym czasie inne nieprzewidywalne wydarzenia, np. huragan lub pożary, ponownie doprowadzą do eskalacji konfliktu. Tak, jak to było w ubiegłym roku, kiedy dynamika i natężenie działań wokół Puszczy znacznie wykroczyły poza meritum sporu. Czy było warto kruszyć kopie? Na to nie ma jednoznacznych odpowiedzi. *Konflikt, który narasta wokół Puszczy Białowieskiej, zaktywizował dwa środowiska, które dzieli wszystko, co z Puszczą związane* – mówił w trakcie konferencji prof. Jan Holeksa z Wydziału Biologii UAM – *Całkowicie różne poglądy na temat historii Puszczy, różne oceny jej obecnego stanu i inna wizja przyszłości. Każda ze stron uważa, że jeśli jej żądania nie zostaną realizowane, to Puszcze ulegnie zniszczeniu. Uważam, że ten konflikt ochronie przyrody nie służy, a wręcz szkodzi.* Tymczasem kolejne wystąpienia nie wskazywały na łatwą drogę do kompromisu. Kiedy ekolodzy argumentowali, wskazując na unikatowy, bardzo stary drzewostan Puszczy, bogactwo roślin i zwierząt, leśnicy przekonywali, że bez ingerencji człowieka części tego dobra nie da się ocalić. Dla wszystkich jednak było oczywiste, że Puszcza Białowieska potrzebuje specjalnej ochrony. A więc chronić w zwiększonym zakresie, czy ingerować w procesy zachodzące w puszczy, nawet tak dotkliwie jak gradacja kornika. Na każdy argument jest jakiś kontrargument strony przeciwnej. Jak w życiu...

(opr. mziol)

ZA I PRZECIW INGERENCJI W PROCESY PRZYRODNICZE:

ZA:

- ▲ Wielogatunkowe lasy strefy umiarkowanej powinny osiągać równowagę na powierzchni kilkuset hektarów, a więc już znacznie mniejszej niż Puszcza Białowieska. Tymczasem obecnie w wyniku gradacji kornika drukarza na niespotykaną dotąd skalę, usychają świerki. Nie można mówić o równowadze dynamicznej lasu, jeśli takiej równowagi nie ma w odniesieniu do jednego z ważniejszych gatunków drzew.
- ▲ Gradacji kornika sprzyja stan fizjologiczny świerków, który uległ pogorszeniu na skutek zmian w systemie hydrologicznym oraz wysokich temperatur wpływających na cykl rozwojowy. Po gradacji wraz z świerkami mogą zaniknąć inne gatunki roślin i zwierząt, które są z nimi związane.
- ▲ Ślady historii użytkowania Puszczy, np. w postaci gatunków zbiorowisk leśnych, również składają się na jej wyjątkowe bogactwo przyrodnicze. Należy je również chronić.
- ▲ W tej chwili na terenie Puszczy Białowieskiej prowadzona jest „hodowla” żubra. Jeśli nie będziemy tych zwierząt dokarmiać, one zaczną szukać pożywienia poza nią. To może stanowić problem społeczny. A jeśli karmimy tę grupę, to ingerujemy w sposób nieprawdopodobny w przyrodę, bo to są potężni roślinożercy.
- ▲ Na terenie Puszczy jest kilka reżimów prawnych, które nakładają się i są absolutnie nieuzgodnione.
- ▲ Od 2012 roku z powodu gradacji kornika drukarza zamarło ok. 1,5 mln drzew, a kolejnych martwych fragmentów lasu przybywa. W trzech puszczańskich nadleśnictwach w ciągu pięciu lat zginęły drzewa na powierzchni ok. 7,2 tys. ha. To tak, jakby z mapy Warszawy zniknęły nagle trzy dzielnice: Śródmieście, Wola i Ochota.
- ▲ Leśnicy, jeśli mają możliwości, są w stanie ograniczyć i bardzo szybko doprowadzić do zatrzymania gradacji kornika. Gdyby w 2012 roku usunięto kilkaset drzew, dzisiaj nie byłoby tego problemu; gradacja gradacji jest nierówna.

PRZECIW:

- ▲ Zastosowanie w Puszczy Białowieskiej wielkoobszarowej ochrony ścisłej pozwoli uzyskać równowagę dynamiczną. Jest to jedyny skuteczny sposób na zachowanie jej bioróżnorodności. Żadne metody ochrony czynnej nie są w stanie zapewnić odpowiednich warunków dla tego bogactwa gatunkowego.
- ▲ Las kształtowany przez procesy przyrodnicze, pozbawiony ingerencji człowieka jest unikatowym miejscem badań naukowych. Ta wiedza powinna być wykorzystywana w naukach stosowanych i w praktyce.
- ▲ Gdyby spytać laików, z czym kojarzy im się Puszcza, to odpowiedzieliby, że z żubrem. I to skojarzenie jest prawdziwe. Puszcza Białowieska przyczyniła się do uratowania tego gatunku.
- ▲ Udowodniono, że po wycięciu stuletnich drzew z odpowiedniego areалу, ginie 30% bioróżnorodności, bo prawdziwa bioróżnorodność to zwierzęta glebowe i mikroorganizmy. Natomiast po wyjęciu kłody w określonym okresie rozkładu niknie 70 % bioróżnorodności. Niepotrzebnie niepokoiimy się o pewne gatunki: one były, są i będą w Puszczy. To jest element równowagi dynamicznej.
- ▲ Dawniej były czynniki, które kreowały przyrost sosen w Puszczy Białowieskiej. W tej chwili uruchomiły się procesy niekorzystne dla jej rozwoju. Sosna przetrwa jedynie w rezerwacie ścisłym.
- ▲ Naturalne zaburzenia nie są katastrofą dla ekosystemu. W takich wypadkach przeżywalność drzew jest dużo większa niż się zakłada. Powinniśmy przyrodzie pozwolić na trochę więcej.
- ▲ Polska jest eksporterem drewna, dlatego, aby złagodzić spór, powinno się rozdzielić funkcję produkcyjną lasów od innych funkcji. To rozwiązanie sprawdziło się w wielu krajach. Drewno martwych drzew jest też towarem, który można sprzedać i wywieźć z Puszczy.



FOT. LUKASZ WOŹNY

W poszukiwaniu wzorcowej polszczyzny

Chciałbym zaproponować, aby zbudować tu dzisiaj tradycję Wielkopolski, Poznania jako stolicy polszczyzny – powiedział językoznawca prof. Tadeusz Zgółka (UAM), otwierając centralne obchody Dnia Języka Polskiego, które decyzją władz Polskiej Rady Językowej PAN, we współpracy z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem i CK Zamek, już po raz drugi odbyły się w Poznaniu.

Wdobie ubożenia języka polskiego, zachwaszczania go błędami, skrótami, anglicyzmami itp., poszukiwanie „wzorców polszczyzny”, a taki był temat tegorocznej debaty, nie jest zadaniem łatwym, toteż podjęli je ludzie, w życiu których język polski jest narzędziem bądź/ i przedmiotem pracy: pisarz i publicysta Jacek Bocheński; językoznawcy: prof. Jan Miodek (UWr), prof. Halina Zgółkowa (UAM), prof. Kazimierz Ożóg (Un. Rzeszowski), aktor, pedagog, profesor i rektor Akademii Teatralnej w Warszawie Wojciech Malajkat; dziennikarz i publicysta, autor słowników języka młodzieży (ostatni: *Totalny słownik najmłodszej polszczyzny*) Bartłomiej Chaciński oraz dziennikarz, artysta kabaretowy i piosenkarz Artur Andrus.

Sporą część debaty wypełniły odpowiedzi gości na pytanie moderatorki dr hab. Katarzyny Kłosińskiej (UW), co sprawiło, że zwrócili oni uwagę na język i z czasem stali się jego świadomymi użytkownikami czy badaczami, oraz kto i dlaczego stał się dla nich wzorcem polszczyzny.

Pierwszymi wzorami dla prof. Miodka byli posługujący się piękną polszczyzną rodzice – oboje nauczyciele, w tym mama polonistka. Zdaniem zasłużonego popularyzatora języka polskiego, żeby być wzorcem, trzeba mieć wyrazistą osobowość i urzekającą emocjonalność wypowiedzi, stąd na liście jego językowych miłości i autorytetów znaleźli się m.in.: Lucjan Kydryński, Władysław Bartoszewski, Jan Zarkzewski i najwięksi sprawozdawcy sportowi: Witold Dobrowolski, Bohdan Tomaszewski, Bogdan Tuszyński, ale także Jan Ciszewski, u którego dostrzegął 1500 uchybień gramatycznych czy stylistycznych, jednak podziwiał go właśnie za wielką osobowość. Wzorcem współczesnym jest dla niego Tomasz Zimoch oraz kardiochirurg prof. Marian Zembała – „Cycero współczesnego świata medycyny”.

WZORY Z POLSKIEGO



Artur Andrus

– Wzorcem polszczyzny jest też dla mnie mistrz krótkich wypowiedzi pełnych sensu, Andrzej Poniedziałki, który zaimponował mi, odpierając zarzut, jak może tłumaczyć z francuskiego, którego nie zna, stwierdzeniem: „Ale ja przecież tłumaczę na polski”.



Wojciech Malajkat

– Moimi wzorcami językowymi byli: Zbigniew Zapasiewicz, który odznaczał się wyjątkową odpowiedzialnością za to, co mówi i jak mówi, oraz precyzją. Ceniłem także Gustawa Holoubka, którego mimo lekkiego seplenia chciało się słuchać, bo posługiwał się wspaniałą polszczyzną, oraz prof. Aleksandra Bardiniego – z fenomenalnym poczuciem humoru, wrażliwością i odczytaniem, wnikliwą analizą i wyważonym, precyzyjnym sądem.



Prof. Halina Zgółkowa

– W mojej ocenie przepięknie mówią leśnicy, ale także lekarze. Jest na przykład Mistrz Mowy Polskiej, chirurg, który tak pięknie, tak obrazowo potrafił przedstawić operację, że chciałabym się jej poddać.

Również badacz polszczyzny współczesnej i historii języka prof. Kazimierz Ożóg zwrócił uwagę na fenomen języka, zastanawiając się w dzieciństwie, dlaczego mama, posługująca się gwarą mazowiecką, mówi „godo”, a powinno się mówić „gada”. Pierwszym autorytetem językowym był dla

niego matematyk z podkarpackiego liceum, który nauczył go odpowiedzialności za słowo, ponieważ matematyka jest precyzyjna, logiczna, ma sens.

Mistrza Mowy Polskiej z 2010 r., Artura Andrusa urzekli m.in.: Wojciech Młynarski, Andrzej Waligórski, Jan Kaczmarek czy Maria Czubaszek, którzy pokazali mu, że w języku może być żart, dowcip. Refleksję językową obudziła w nim też babcia, która, kiedy siadał przy stole, mówiła gwarowo: „Uprzyj się, będzie ci wygodniej”. Dopiero później zrozumiał mądrość tej rady: *Ja parę razy w życiu się uparłem i to rzeczywiście było dobre, było mi wygodniej.*

Właściwie byłem skazany to, żeby w jakimś sensie zajmować się językiem – powiedział Bartłomiej Chaciński, „dziecko studenckie dwojga filologów”, w którego domu mówiło się osobnym językiem, a ojciec potrafił rozmawiać nieco innym językiem z każdą osobą. *Zafascynowało mnie to przechodzenie między poziomami językowymi, do którego polszczyzna znakomicie się nadaje* – dodał Młody Ambasador Polszczyzny (2008). Między innymi za to podziwiał Wojciecha Młynarskiego. Sprawnością językową, intonacją i ekspresją imponowali mu lektorzy filmowi: Janusz Koziół, Janusz Sztybel i Lucjan Szolajski.

Według aktora Wojciecha Malajkata nie ma chyba znaczenia, czy ktoś mówi hiperwyraźnie i hiperpoprawnie, przestrzegając zasad artykulacji i wymowy, tylko to, czy towarzyszy temu odpowiedzialność językowa. Niemniej nie do przyjęcia jest dla niego fatalna, pretensjonalna, niechlujna wymowa (bez samogłosek) i płaska intonacja obecnych kandydatów na aktorów, którzy nie potrafią wyrazić emocji, bo na co dzień posługują się emotikonami. Również inni paneliści jako niepokojące zjawisko wskazali to, że młodzież swój język opiera na wzorcach z gier komputerowych, youtuberów, blogerów, Internetu itp. (prof. Zgółkowa, B. Chaciński), a Jacek Bocheński wyraził wręcz obawy o przyszłość polszczyzny, bo ma wrażenie, że młodzieży służy ona do jakichś szczątkowych celów komunikacyjnych.

W tym kontekście budująco zabrzmiała zapowiedź prezydenta J. Jaśkowiaka, że zaleci wprowadzenie do szkół elementów retoryki i zajęć z logopedami, a nawet łaciny, do czego zmotywowało go pewnie wyznanie pisarza, że ogromny wpływ na jego polszczyznę miał właśnie ten język. Do poznania łaciny J. Bocheńskiego zachęcił natomiast ojciec, usłyszawszy kiedyś wygłaszane przez syna przemowy w wymyślonym, sztucznym języku obcym. *Ojciec wszczepił mi taki filologiczny wzorzec językowy, który jest uniwersalny dla różnych języków* – stwierdził autor *Trylogii rzymskiej*, który z czasem doszedł do wniosku, że język rządzi się prawami podobnymi do praw przyrody. *A skoro w języku działają prawa podobne do praw przyrody, to może obowiązuje nas jakaś etyka wobec języka. Skoro nie powinniśmy zabijać czy dręczyć istot żywych, krojąc je na przykład żywcem na kawałki, to nie powinniśmy też znęcać się nad językiem* – zauważył Wielki Ambasador Polszczyzny (2017).

Wzorzec musi mówić piękną i poprawną polszczyzną, ale musi też mieć coś do powiedzenia, musi mieć pasję – stwierdziła prof. H. Zgółkowa, która jako jurorka wielu konkursów, w tym krasomówczych i na Mistrza Mowy Polskiej, często spotyka wyjątkowe osobowości. Ze współczesnych osób publicznych wzorcem językowym był dla niej Jan Paweł II, Grzegorz Miecugow i wielu gości jego programu, zaś z dawnych lat – Wiktor Zin.

Danuta Chodera-Lewandowicz

Porozmawiajmy o języku

Z prof. Janem Miodkiem

rozmawia Danuta Chodera-Lewandowicz



FOT. LUKASZ WOŹNY

Czy Polacy mają jeszcze wspólny język?

Nie mają. Ja to zauważam coraz bardziej w swoim programie [*Słownik polsko@polski*], że pewne pomysły leksykalne młodego pokolenia już nawet dla ludzi o 30 lat ode mnie młodszych są nieprzyswajalne.

A jak Pan znosi powszechne obecnie w mediach kwiatki typu: „ciężko opisać”, „ciężki orzech do zgryzienia”, „dedykowany”, „w tym temacie” i wiele innych?

To, co się stało z przymiotnikiem „ciężki” czy przysłówkiem „ciężko”, jest nie do wytrzymania. Moja odporność na te określenia się wyczerpuje. Ale tak piszą mi nawet doktoranci: „To jest ciężki problem metodologiczny”. Równie irytujące są formy: „posiadam wiedzę” zamiast „wiem” czy „nie posiadam wiedzy w tym temacie” zamiast prostego „nie wiem”. Ja w życiu nie napiszę, że ta osoba jest „dedykowana” do kontaktów ze mną, a sam takie pisma otrzymuję. Nigdy nie zapytam w sklepie, czy są śruby „dedykowane” do tego typu ścian, natomiast widzę, że coraz więcej osób – pod wpływem angielskiego – tak mówi. Nie powiem złego słowa przeciwko mailowi, komputerowi, joystickowi, skanerowi i setkom innych słów z terminologii elektronicznej, natomiast takie bezmyślne kalkowanie konstrukcji angielskich mnie irytuje, z „dokładnie”, które jest jedynym przytaknięciem dla wielu osób. Zawsze będę bronił elitarności języka i uczniom szkoły średniej oraz studentom zawsze mówię, że powinni być elitą i że wzorcowa norma językowa ma sens, bo dzięki niej nieuchronne zmiany w języku dokonują się wolno, choć dzisiaj na pewno sto razy szybciej niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Trzeba jednak wierzyć za Melchiorcem Wańkowiczem, że język jest jak rzeka, która wchłania w siebie wszelkie nieczystości, brudy, ale ostatecznie u ujścia jest czysta i klarowna, więc myślę, że tak jest też z polszczyzną. Problem prawdziwym, przy którym „poszedłem” zamiast „poszedłem”, „wziełem” zamiast „wziąłem” to pestka, jest straszliwa agresja językowa, w której przyszło nam żyć, brutalizacja języka, nienawiść dwóch plemion polskich do siebie.

Czy rozumie Pan język pism urzędowych? Wiele osób z wyższym wykształceniem ma z tym poważne problemy.

To jest osobny język, którego ja nie przyswajam i się poddaję. Niektórych ludzi to dziwi, no ale ja bym zabrnął w ślepy zaułek, gdybym podejmował się rozstrzygnięcia takiego czy innego ustalenia prawno-orzeczniczego. Zresztą ja zawsze mówię, że musiałbym znać intencję ustawodawcy. Napisane to jest takim językiem, że ja nic z tego nie rozumiem.

Pięknej, bogatej, poprawnej polszczyzny trzeba będzie kiedyś szukać w archiwach i bibliotekach?

Nie będzie tak źle. Myślę, że zawsze będą ludzie, którzy to, co najlepsze, i to, co piękne w języku, będą chronić.

Organista rządzi Parlamentem

Nowym przewodniczącym Parlamentu Samorządu Studentów UAM został Wojciech Kuciński. To student III roku chemii. Na co dzień... organista w kościele. W bezpośrednich wyborach pokonał Klaudię Dudzik, studentkę prawa.

Wybory przewodniczącego PSS UAM odbyły się w Sali Senatu UAM w Collegium Minus. Poprzedziła je część sprawozdawcza, na której podsumowano ostatni rok działalności parlamentu. *Największy sukces to utworzenie samodzielnie wyjazdu integracyjnego. Udało nam się też, dzięki wsparciu władz rektorskich, wyremontować nasze biuro. Wyprostowaliśmy też sprawy finansowe* – mówił Dominik Wysocki, ustępująca przewodnicząca.

Kim jest zwycięzca? Kuciński to student III roku chemii organicznej. Na co dzień organista grywający w kościele. *Jeśli ktoś chce mi zarzucić, że idę do celu po trupach, to chyba tylko przez to, że gram na pogrze-*

bach – żartował podczas swojej prezentacji. W PSS działa od 2016 roku, a od 2015 roku działa w radzie samorządu studentów Wydziału Chemii – był tam sekretarzem, a obecnie drugą kadencję jest jej przewodniczącym.

Czym przekonał wyborców? Na pewno był pewniejszy siebie niż konkurentka. W programie zapowiadał, że chce, by samorzady poszczególnych wydziałów miały więcej do powiedzenia w parlamencie. Marzy mu się też, by studenci mieli swój budżet obywatelski – 20 tysięcy złotych na ich oddolne inicjatywy. Zamierza też powalczyć o poprawę pozycji PSS wśród innych uczelni. Czy mu się to uda? Okaże się za rok.

Filip Czeakała

2 PYTANIA DO...

Wojciecha Kucińskiego



FOT. FILIP CZEKAŁA

Emocje już nieco opadły. Co będzie twoim priorytetem podczas kadencji?

Moim „oczekiem w głowie” będzie na pewno integracja członków Parlamentu oraz stopniowa eliminacja problemów, z którymi boryka się nasza struktura. Na pewno – choć będzie to bardzo trudne – trzeba odejść od modelu samorządu współpracującego z innymi podmiotami na ich warunkach, a zacząć współpracować na naszych. Dołożę też wszelkich starań, aby zorganizować drugą edycję wyjazdu integracyjno-szkoleniowego dla studentów pierwszego roku i rozbudować ofertę wyjazdów dla samorządowców.

Mówiłeś, że chcesz poprawić pozycję PSS UAM na arenie krajowej, by nie można było mówić, że jesteśmy „uniwersytetem wyklętym”. Jak zamierzasz tego dokonać?

Trzeba zacząć od rozmów i od brania udziału

w spotkaniach z innymi uczelniami. Nie możemy dłużej pozwalać na to, by nasze zdanie było pomijane. Jesteśmy trzecim największym uniwersytetem w Polsce! Jedną z szans poprawy relacji z innymi samorządami jest zorganizowanie na jak najwyższym poziomie kolejnej edycji Studenckiego Forum Jakości, którą planujemy na przełom października i listopada. Przy tej okazji jesteśmy również skłonni do zorganizowania posiedzenia Forum Uniwersytetów Polskich, oczywiście w zależności od chęci i możliwości zarządu tej organizacji. Testem z wykonanej przez nas pracy będą wybory przewodniczącego Parlamentu Studentów RP. Ich przebieg z pewnością pokaże na co nas stać i co udało nam się zrobić w trakcie tej kadencji.

NOWY SKŁAD ZARZĄDU PSS:

Przewodniczący – Wojciech Kuciński (Wydział Chemii)

Wiceprzewodniczący – Maciej Rewucki (Wydział Neofilologii)

Sekretarz – Klaudia Stecka (Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej)

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI:

Komisja Dydaktyki i Jakości Kształcenia – Patrycja Krawczyk (Wydział Historyczny)

Komisja ds. Marketingu – Natalia Szumała (Wydział Neofilologii)

Komisja Prawna – Rafał Świergiel (Międzywydziałowe Indywidualne Studia humanistyczne i Społeczne)

Komisja Projektowa – Natalia Rosicka (Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej)

Komisja ds. Promocji i Komunikacji – Łukasz Rozwora (Wydział Historyczny)

Komisja Socjalno-Ekonomiczna – Aleksandra Gałka (Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych)

XFEL,

Mierzy ponad 3 km długości, czyli tyle, ile dzieli budynek Collegium Maius z Kampusem na Ogrodach, i jest zlokalizowany w specjalnie wydrążonych podziemnych tunelach. Jego moc szczytowa przewyższa jakiegokolwiek inne dostępne naukowcom źródło promieniowania rentgenowskiego.

Mowa o European XFEL, czyli Europejskim laserze rentgenowskim na swobodnych elektronach, który we wrześniu ubiegłego roku został uruchomiony w pobliżu renomowanego laboratorium DESY (*Deutsches Elektronen-Synchrotron*) w Hamburgu.

Prace nad uruchomieniem tego kolosa trwały prawie 8 lat i pochłonęły, bagatela, 1,2 miliarda euro. W zespole naukowym odpowiedzialnym za uruchomienie, a obecnie obsługę jednej ze stacji badawczych European XFEL (FXE, *Femtosecond X-ray Experiments*), uczestniczy dr Wojciech Gawęda, od niedawna pracownik Wydziału Fizyki UAM.

To niezwykle laboratorium zbudowane zostało w ścisłej współpracy międzynarodowej 12 państw europejskich (Niemcy, Rosja, Dania, Wlk. Brytania, Francja, Szwajcaria, Szwecja, Polska, Słowacja, Węgry, Hiszpania, Włochy). Choć pierwszy tego typu laser, który powstał w laboratorium SLAC przy Uniwersytecie Stanford w Stanach Zjednoczonych, liczy sobie dopiero niecałe 9 lat, już można z pewnością powiedzieć, że tego typu urządzenia zrewolucjonizowały dziedzinę badań strukturalnych materii w dowolnym stanie, od fazy gazowej po ciała stałe.

W odróżnieniu do laserów w zakresie optycznym, European XFEL oparty jest na technologii akceleratorowej i generuje wiązkę światła o 1000 razy krótszej długości fali (rzędu 0.1 nm, gdzie 1 nm = 10⁻⁹ m

nauka jest wielka!

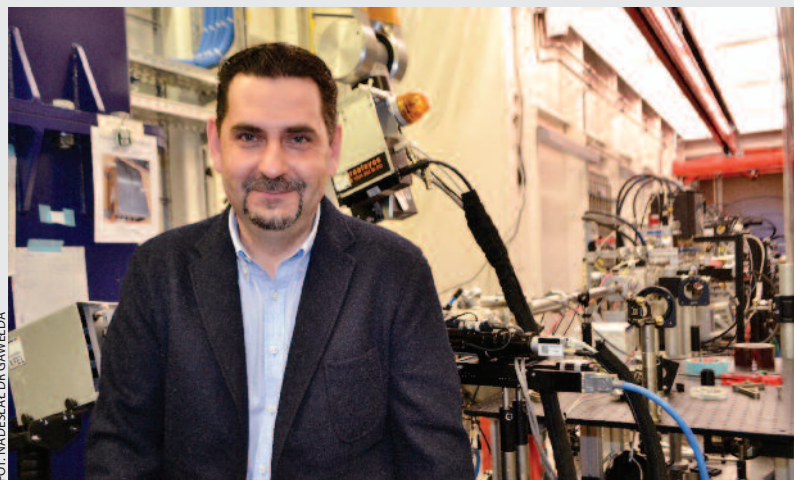
a więc jedna miliardowa część metra) niż konwencjonalne lasery, które znamy z laboratoriów uniwersyteckich. Mniej więcej 2/3 długości lasera to liniowy akcelerator, służący do przyspieszania elektronów do relatywistycznych prędkości, a więc bardzo bliskich prędkości światła. Dzięki ultrakrótkiemu czasowi trwania impulsów uzyskiwanych w XFELu możliwe jest przeprowadzanie badań dynamicznych procesów fizyko-chemicznych, które charakteryzują się podobnie krótkimi czasami życia, np.: powstawania i zrywania wiązań chemicznych w trakcie reakcji chemicznych czy zmian struktury elektronowej bądź atomowej podczas przejść fazowych.

Potencjalnych zastosowań tego typu badań jest wiele, nie tylko w fizyce czy chemii, ale przede wszystkim w biologii strukturalnej i molekularnej, naukach o materiałach czy naukach o życiu. Jednym z nich jest rejestrowanie tzw. „filmów molekularnych”, a więc sekwencji obrazów zmieniających się struktur atomowych cząsteczek podczas przebiegu reakcji chemicznej. Tego typu filmy charakteryzować się będą atomową rozdzielczością przestrzenną oraz bardzo wysoką rozdzielczością czasową. To stwarza nowe możliwości poznawcze i pozwoli naukowcom zmierzyć cały przebieg reakcji chemicznej oraz wyróżnić wszystkie, nawet przejściowe struktury atomowe w nią zaangażowane. Dzięki temu możliwe będzie pełniejsze zrozumienie mechanizmów tych reakcji i, co ważniejsze, pozwoli to również na ich kontrolowanie.

Osobiście zainteresowany jestem wykorzystaniem laserów rentgenowskich do badań dynamiki reakcji chemicznych w fazie ciekłej w różnego rodzaju kompleksach metali przejściowych – mówi dr Gawęda – A więc jestem jednym z tych naukowców, którzy już w niedalekiej przyszłości rejestrować będą „filmy molekularne”!

Jednym z badań, które obecnie realizuje dr Gawęda, a które znajdują lub mogą znaleźć niedługo zastosowanie, są układy tzw. fotouczulaczy odpowiedzialnych za konwersję energii światła słonecznego na energię elektryczną (a więc prąd elektryczny) lub energię chemiczną. Ta konwersja pozwala wykorzystywać jedno z najpotężniejszych źródeł odnawialnej energii dostępne na Ziemi, a więc Słońce. Po przekształceniu energii doprowadzonej do fotouczulacza w postaci fotonów światła słonecznego w energię zmagazynowaną w elektronach może być ona wykorzystana do katalizy procesu rozszczepiania wody lub redukcji azotu cząsteczkowego do amoniaku czy utleniania metanu do metanolu. Energia elektryczna generowana przy użyciu fotouczulaczy znalazła również szerokie zastosowanie w ogniwnach fotowoltaicznych.

Część z tych pomysłów dr Gawęda będzie realizował w Poznaniu, gdzie właśnie zbiera swój zespół badawczy. *Pomysł pojawił się w pod koniec 2016 r., kiedy zdecydowałem się przystąpić do konkursu grantowego Narodowego Centrum Nauki. Z uwagi na fakt, że Polska jest również państwem członkowskim European XFEL, postanowiłem przyczynić się do rozwoju wszechnienia tego lasera w polskim środowisku naukowym. Pomyślałem, że najlepszym sposobem na tego typu „popularyzację” będzie założenie grupy naukowej w Polsce, starania się o czas pomiarowy w laboratorium w Hamburgu i ostatecznie rozpoczęcie programu naukowego, angażując w to młodych polskich naukowców – mówi dr Gawęda.*



FOT. NADESZA/DR GAWĘDA

Dr Wojciech Gawęda, fizyk pracujący przy jednej ze stacji badawczych laboratorium European XFEL zlokalizowanego niedaleko Hamburga w Niemczech. W tle aparatura pomiarowa instrumentu FXE (Femtosecond X-ray Experiments), która pozwala przeprowadzanie badań dynamiki reakcji chemicznych

Tematyka jest związana z zastosowaniem impulsowego promieniowania rentgenowskiego generowanego w laserach rentgenowskich i synchrotronach do badań dynamiki struktury atomowej układów molekularnych w fazie ciekłej. Do grupy kompleksów, którymi będzie się zajmował, należą wspomniane wyżej związki fotouczulaczy. Dodatkowo planuje też badania nad tzw. wysokowalencyjnymi kompleksami metali. Dzięki wykorzystaniu laserów rentgenowskich możliwy będzie pomiar ich struktury i opisanie ich własności elektronowych, co pozwoli lepiej zrozumieć szereg ważnych procesów katalitycznych spotykanych w chemii koordynacyjnej oraz biochemii.

Jak mówi, Poznań jest dla niego miejscem szczególnym. *Urodziłem się w Poznaniu, tu ukończyłem studia na Wydziale Fizyki UAM. Ciekawe jest to, że moją pracę magisterską realizowałem pod kierownictwem śp. prof. dr hab. Franciszka Kaczmarska oraz aktualnego prorektora ds. nauki i spraw międzynarodowych, prof. dr hab. Ryszarda Naskręckiego. Po ukończeniu studiów magisterskich wyjechałem z Polski, aby realizować studia doktoranckie w Szwajcarii oraz staż naukowy w Hiszpanii. Następnie przenieśliem się do Niemiec, gdzie pracowałem przy budowie, a obecnie eksploatacji stacji badawczej FXE. Dla mnie to w pewnym sensie powrót do moich korzeni naukowych. To właśnie w Zakładzie Elektroniki Kwantowej po raz pierwszy usłyszałem o femtosekundowych laserach (w tym przypadku optycznych) i tutaj nauczyłem, czym jest fizyka doświadczalna. To naprawdę niesamowite uczucie wrócić po tylu latach na Wydział Fizyki UAM i w otoczeniu tylu znajomych twarzyć rozpocząć tworzenie własnego zespołu badawczego!*

Magda Ziółek

Wywiad z dr Wojciechem Gawędą oraz informacje na temat zespołu badawczego są na stronie:

uniwersyteckie.pl





FOT. LUKASZ WOJNY

Zawierucha na tropie lodowych niesporczaków

Z dr. Krzysztofem Zawieruchą z Zakładu Taksonomii i Ekologii Zwierząt UAM rozmawia Magda Ziółek

Jak wyglądają niesporczaki? Czy rzeczywiście są tak kolorowe i niezemskie, jak podpowiada Internet?

Częściowo tak. Niesporczaki z gromady Heterotardigrada są kolorowe. Jeśli będziemy je oglądać pod mikroskopem, bo pamiętajmy, że są to zwierzęta osiągające od 0,01 do 1,2 mm długości, to zauważymy, że są pomarańczowe, czerwone lub brązowe. W takim zbliżeniu zobaczymy też, że mają walcowate lub beczułkowate ciało (zależy od rodzaju) pokryte płytkami oraz szczecinami i 4 pary odnóży zakończonych pazurami. Czy wyglądają niezemskie? Raczej kojarzą mi się z misiami lub parówkami, ale to kwestia wyobraźni. Natomiast niesporczaki z grupy Eutardigrada nie mają płytek i szczecin, ponadto są przezroczyste, a więc pozbawione koloru, o który pani pytała. Wyjątek stanowią mieszkańcy wysokich gór. Te, które upodobały sobie lodowce w Alpach, Tienszan czy w Himalajach mają w kutikuli ciemny pigment, który chroni je przed wysokimi dawkami UV. I tu ciekawostka. Niesporczaki, które żyją na lodowcach w regionach polarnych są przezroczyste. Dlaczego zatem nie mają ciemnego pigmentu, skoro też przyjmują duże dawki UV? Z drugiej strony wiadomo, że są niesporczaki, które nie mają pigmentu, i doskonale sobie radzą z wysokimi dawkami UV... m.in. te, które żyją w okolicach naszych domów.

Chciałam zapytać, co takiego ciekawego mają w sobie niepozorne organizmy, ale częściowo już udzielił mi Pan odpowiedzi...

Wiele ich cech jest niezwykle inspirujących i ciekawych. Choćby to, że są najbardziej wytrzymałymi zwierzętami na Ziemi. Proszę sobie wyobrazić, że są zdolne przeżyć zarówno w temperaturze 150 stopni Celsjusza, jak i bliskiej zera absolutnego. Zamieszkują miejsca raczej nieprzyjazne dla innych organizmów. Najlepszym tego przykładem są lodowce. Przyznam, że jestem zakochany w lodowcach. Uważam, że są to fascynujące, zmieniające się na naszych oczach ekosystemy. I mimo, że nie widzimy tego gołym okiem, na powierzchni lodowców pulsuje życie. Funkcjonuje złożony system, w którym sinice odpowiadają za produkcję pierwotną, a właśnie te małe misie – niesporczaki, które mają około 0.03 mili-

metra, są największymi konsumentami. Pełnią dokładnie taką samą funkcję na lodowcu, jak niedźwiedź polarny w ekosystemach arktycznych, czy wilk w lasach pierwotnych. Poza tym fascynujące są ich zdolności przetrwania. Proszę sobie wyobrazić, że wybudziliśmy je z próbek z lodowców Centralnej Azji po 11 latach hibernacji. Ale to nic w porównaniu z wynikami japońskich naukowców, którym udało się to po 30 latach! Mało tego – one powróciły do wszystkich funkcji życiowych, składały jaja, z których wykluwały się młode.

To może warto byłoby zbadać, jak one to robią? Takie badania można by potem wykorzystać np. w naukach medycznych...

Zwłaszcza, że takich ciekawych „umiejętności” niesporczaki mają znacznie więcej. Są aktywne w niskich temperaturach, a ich białka mogłyby zostać wykorzystane w biotechnologii np. w budowaniu odporności komórek ludzkich na promieniowanie UV, jak donosili japońscy naukowcy w jednym z artykułów opublikowanych w *Nature communication*. Są jednym z głównych obiektów modelowych w badaniach astrobiologicznych. To właśnie te zwierzęta wykorzystuje się do badania reakcji organizmów wielokomórkowych na warunki panujące poza naszą planetą. Niesporczaki posiadają też jeszcze inną ciekawą właściwość, która polega na tym, że można je wysuszyć i po kilku latach, z powrotem przywrócić do życia. Takie gatunki są obecne wokół nas np. możemy je znaleźć nawet pod Collegium Minus. Związana jest z tym pewna ciekawa hipoteza opublikowana w czasopiśmie medycznym *The Lancet* już w latach 90tych. Zasugerowano tam, że taka umiejętność przesuszania mogłaby znaleźć zastosowanie w transplantologii, do przechowywania tkanek w stanie suchym. Takich historii jest oczywiście więcej, często z pogranicza *science* z dodatkiem *fiction*.

Po co szukać niesporczaków na lodowcach, skoro, jak Pan wspominał, można je znaleźć pod Collegium Minus?

Czy zdaje sobie pani sprawę, że lodowce i czapy lodowe to 10% procent naszej planety? A niesporczaki są jedną z najliczniejszych grup zwierząt (wraz z wrotkami) zamieszkujących te ekosystemy. To one kontrolują zagęszczenia innych organizmów, takich jak glony czy sinice. Mało tego, są tam paradoksalnie największymi zwierzętami, tym samym mogą istotnie wpływać na obieg węgla w ekosystemach glacialnych. Cały czas zaskakuje nas różnorodność tych misiów na lodowcach, ich zdolność dyspersji czy dziwaczna morfologia. Właśnie dlatego interesuję się niesporczakami na lodowcach i podróżuję, bo Arktyka i rejony polarne zmieniają się w zaskakującym tempie. A wszystkie te zmiany wcześniej czy później odbiją się na naszym lokalnym otoczeniu. Moja znajoma, zajmująca się zanieczyszczeniami na lodowcach umieściła piękny cytat pewnego Inuity na swojej stronie internetowej, mianowicie „*Arktyka jest barometrem zdrowia świata. Jeśli chcesz wiedzieć jak zdrowy jest świat, odwiedź Arktykę i poczuj jej puls*”, wydaje mi się, że to kwintesencja. Ale kiedyś usłyszałem także inne dobre stwierdzenie w Zakładzie Ekologii Morza PAN w Sopocie, że „*Svalbard jest kuźnią klimatu Europy*”. To wszystko jest prawdą.

Czytelnikom portalu „Crazy nauka” znane są Pańskie dokonania naukowe i podróżnicze, zresztą nie tylko im; jest pan autorem kilku artykułów popularno-naukowych. Opowie nam Pan o swoich podróżach?

Byłem trzy razy na Spitsbergenie. W 2011 roku, na mocy współpracy z PAN w Krakowie, odwiedziłem Polską Stację Polarną Hornsund i spędziłem tam miesiąc. Wtedy też po raz pierwszy zobaczyłem lodowca. To był lodowiec szelfowy Han-

sa (Hansbreen) zakończony wielkim klifem w morzu. Widok, jaki znamy z filmów przyrodniczych BBC. Oczywiście poszedłem na ten lodowiec i wtedy również po raz pierwszy zobaczyłem oczka kriokonitowe. Są to niewielkie zagłębienia wypełnione wodą z ciemnym osadem na dnie. To właśnie tam żyją niesporczaki lodowe. W 2013 po raz kolejny odwiedziłem Spitsbergen, właściwie mogę śmiało powiedzieć, że zwiedziłem archipelag Svalbard. Nie starczyło mi finansowania z mojego własnego grantu, więc zmontowałem ekspedycję naukową, na którą złożyli się ornitolodzy z Gdańska, badający kolonie ptaków morskich oraz hydrologi z Warszawy – ich interesowało zasolenie wody w fiordach na północy. Do kompletu dobraliśmy jeszcze dwójkę turystów, którzy chcieli wyruszyć na prawdziwą ekspedycję naukową. Ta wyprawa naprawdę się udała! Wtedy miałem okazję zebrać materiał z dwóch lodowców – Waldemarbreen i Buchanbreen. Dotarło wtedy do mnie, jakimi dynamicznymi ekosystemami są lodowce. To była niesamowita wyprawa, przekroczyliśmy 80 równoleżnik i dopłynęliśmy do najdalszych wysp Archipelagu Svalbard. Pamiętam, mogła być 1.00, 2.00 (był wtedy dzień polarny), Wysiedliśmy z łodzi, idziemy plażą i nagle docieramy do małej laguny, gdzie wylegają się morsy. Dziesiątki morsów, które chrapały, przepychały się – widok niesamowity! Zawróciliśmy na plażę, a tam na piasku zobaczyliśmy ślady misia polarnego, co oznaczało, że on też tam był. Ciekawe uczucie. Na Spitsbergenie byłem jeszcze w 2016 roku, całą wyprawę spędziłem na prowadzeniu eksperymentów na lodzie.

Był Pan również na Grenlandii?

Pojechałem tam we wrześniu 2015 roku. Celem podróży była czapa lodowa położona na południowo-zachodnim wybrzeżu. Dlaczego to miejsce? Wszyscy wyobrażamy sobie Grenlandię jako kontynent skuty lodem, ale oczywiście to nie do końca prawda. W wyniku zmian klimatycznych czapa lodu kurczy się, odkrywając surowe gleby lub skały, ustępując tym samym tundrowiskom. Z Kangerlussuaq (małego miasta) na lodowiec prowadzi najdłuższa na tej wyspie droga, ma jakieś 30 km. Można wypożyczyć tam rower i podróżować mijając po drodze piżmowoly czy renifery docierając wreszcie do największego magazynu wody słodkiej na półkuli północnej – czapy lodowej. Jesienna Grenlandia zachwyca paletą kolorów, to niezapomniane przeżycie. W trakcie tej wyprawy miałem też okazję spędzić noc na lodzie. Razem z przewodnikiem ruszyliśmy w głąb czapy lodowej wioząc na saneczkach cały potrzebny sprzęt do badań. To, co tam zobaczyłem krajo-
brazowo przypomniało planetę dra Manna z filmu „Interstel-



FOT. INTERNET

lar”. Gdzie spojrzysz – ciemny lub jasny lód. Były też oczywiście oczka kriokonitowe, z których zebrałem materiały do badań. Część wyników już opublikowałem.

Podobno marzy Pan o zdobywaniu również tropikalnych lodowców?

Tropikalne lodowce zginą w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, niektóre nawet w perspektywie dekady, np. w paśmie Rwenzori w Ugandzie ostatni lodowiec zlokalizowany na wysokości 5100 metrów nad poziom morza prawdopodobnie zniknie za pięć lat. To samo lodowce na Kilimandżaro i na Mount Kenya, które przestaną istnieć w przeciągu 20 lat. Wraz z nimi tracimy szansę na poznanie bioróżnorodności tych niesamowitych, tropikalnych zimnych wysp. Jeśli jest taka możliwość, proszę o przesłanie próbek osoby, które robiły badania na tropikalnych lodowcach. Chociaż tak naprawdę niewiele jest takich okazji. Prawie nikt tego nie bada. Z Puncak Jaya w Papui jest bardzo ciężko zdobyć materiał, z Kilimandżaro nie ma żadnych informacji. Z Ugandy jedna praca naukowców z Japonii z 2014 roku. Poprosiłem ich o materiał, który tam zebrali. Wysłali mi i okazało się, że mam z tego miejsca dwa nowe gatunki dla wiedzy. Oczywiście zbieram materiały nie tylko z terenów tropikalnych. Ostatnio np. udało mi się uzyskać, również od Japończyków, próbki z lodowców w górach Tien i Quilian. Wyniki mnie zaskoczyły. Okazało się, że niesporczaki, żyjące na tych lodowcach, mają nie-

samowitą zdolność dyspersji. W dwóch oddalonych od siebie o 1700 km siedliskach żyją te same pod względem morfologicznym i molekularnym gatunki. Obszar między lodowcami jest płaski, prawdopodobnie nigdy nie było tam platformy lodowej. Jest to klasyczny przykład hipotezy: *everything is everywhere but environment select*. Prawdopodobnie niesporczaki migrują z wiatrem i kiedy trafią w odpowiednie miejsce, będą tam żyły. Nie znajdziemy ich w mchach, ponieważ są przystosowane do życia na lodzie. Ale oczywiście nie jest to reguła.

Jest pan naukowcem, podróżnikiem, a może dziennikarzem?

Naukowiec musi charakteryzować pewną pasję i ciekawość otaczającego świata, zwłaszcza w odniesieniu do własnych badań. I to chyba robię, poszukując niesporczaków na lodowcach. Czy jestem podróżnikiem? Cóż, każdy z nas nim jest, nawet jeśli za cel swojej podróży obiera Bieszczady czy okolice Poznania. A czy jestem dziennikarzem? Raczej nie. Lubię opowiadać o nauce, mam bloga, wypowiadam się np. na łamach prasy o swoich wynikach badań... Na tym przecież m.in. polega popularyzacja nauki.

uniwersyteckie.pl



FOT. KRZYSZTOF ZAWIERUCHA

Pomysłowy... jak człowiek z UAM

Sto tysięcy złotych trafi wkrótce do twórców 19 projektów, które będą pozytywnie zmieniać nie tylko naszą uniwersytecką rzeczywistość. Fundacja UAM rozstrzygnęła właśnie drugi już konkurs pod tytułem FUND_AKCJA. W ten sposób pomysły studentów, doktorantów i pracowników UAM oraz jednostek uczelni mogą liczyć na finansowe wsparcie w ich realizacji.

O d popularyzacji interfejsów mózg-komputer, seminariów i zjazdów naukowych, przez popularyzację matematyki wśród uczniów i nauczycieli, po harfę laserową, a nawet opracowanie metodyki sprawnego wykrywania wirusa afrykańskiego pomoru świń. To oczywiście nie cała lista zwycięskich pomysłów tegorocznego konkursu Fundacji UAM pod nazwą FUND-AKCJA.

Wierzymy, że dofinansowanie przyznane przez Fundację UAM pozwoli laureatom konkursu zrealizować wartościowe przedsięwzięcia, które w realny sposób przyczynią się do realizacji celów popularyzatorskich, nawiązywania współpracy na linii nauka-biznes, a także upowszechniających osiągnięcia aktywnej społeczności akademickiej – podsumował prezes Zarządu Fundacji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza prof. Jacek Guliński.

W sumie w tym roku 19 projektów otrzymało dofinansowanie na łączną kwotę 100 000 zł. Swoje aplikacje złożyli przedstawiciele niemal wszystkich wydziałów UAM oraz innych

jednostek organizacyjnych. 76% wniosków stanowiły projekty zgłoszone przez studentów, doktorantów i pracowników UAM, a 24% przez organizacje, zrzeszające przedstawicieli środowiska akademickiego i działające na rzecz Uniwersytetu.

Najwięcej zgłoszonych projektów dotyczyło inicjatyw popularyzujących naukę lub przedsiębiorczość (30 wniosków) i upowszechniających osiągnięcia naukowo-badawcze, dydaktyczne lub organizacyjne UAM (27 wniosków).

Patrząc na jakość wniosków i pomysły, jakie za nimi idą, można śmiało stwierdzić, że ludzie UAM to osoby pomysłowe. Cieszymy się, że wspierając je, Fundacja UAM może realizować swoje statutowe cele – dodaje prof. Jacek Guliński.

Jeśli któryś ze wspomnianych projektów wzbudził Wasze zainteresowanie, już wkrótce zaspokoimy Waszą ciekawość na łamach Życia Uniwersyteckiego. Kilka ciekawych projektów opiszemy w szczegółach. Trzymamy kciuki za realizację wszystkich pomysłów zgłoszonych do konkursu!

Paweł Marciniak

HORYZONT 2020 z nowym projektem

Nasz Uniwersytet był organizatorem międzynarodowej konferencji naukowej „Challenges and Opportunities of Structurally Weak Rural Regions in Europe. Social Innovations and Social Enterprises Acting Under Adverse Conditions”, która inaugurowała naukową część projektu „RurAction. Social Entrepreneurship in Structurally Weak Rural Regions: Analysing Innovative Troubleshooters in Action”. Projekt jest finansowany przez Unię Europejską w ramach programu Horyzont 2020 (MSCA-ITN-ETN).

UAM, a dokładniej Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych oraz Wydział Nauk Społecznych, jest jedynym polskim przedstawicielem w międzynarodowym konsorcjum badawczym, do którego wchodzi również uczelnie, instytuty naukowe i przedsiębiorstwa z Austrii, Danii, Grecji, Irlandii, Niemiec oraz Portugalii.

Głównym tematem konferencji, jak również całego projektu, jest rozwój regionów słabych strukturalnie. W konferencji uczestniczyło kilkudziesięciu naukowców z Polski, Europy i Stanów Zjednoczonych. W uroczystym otwarciu, w Auli Lubrańskiego, wzięli udział przedstawiciele jednostek zaangażowanych w projekt, w tym między innymi Prorektor UAM ds. nauki i współpracy międzynarodowej, prof. Ryszard Naskręcki oraz koordynatorka projektu z ra-



FOT. MATERIAŁY AUTORA

mienia Leibniz Institute for Research on Society and Space w Erkner pod Berlinem, prof. Gabriela Christmann. Obrady koncentrowały się wokół szeroko pojętej tematyki społeczno-ekonomicznej a więc polityk i strategii rozwoju regionów wiejskich oraz zmian kulturowych na wsi.

Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w projekt RurAction zaangażowane są dwie jednostki, które były również organizatorami konferencji. W Instytucie Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej (IGSEiGP) koordynatorem projektu jest prof. Tadeusz Strykiewicz. Z kolei Instytut Socjologii jest odpowiedzialny za realizowanie w całym projekcie badań wykorzystujących metody wizualne nauk społecznych. Koordynatorem tego zadania jest dr Łukasz Rogowski.

Konferencja była początkiem projektu, który został zaplanowany na kolejne trzy lata, do końca 2020 roku. Z perspektywy naszej uczelni RurAction jest istotny nie tylko jako element współpracy międzynarodowej, ale również kooperacji pomiędzy różnymi jednostkami w ramach UAM – to pierwszy projekt finansowany przez Unię Europejską, który jest prowadzony wspólnie przez dwa Wydziały.

**dr Łukasz Rogowski (Instytut Socjologii UAM),
prof. Tadeusz Strykiewicz (Instytut Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej UAM).**



FOT. PRZEMYSŁAW STANULA

W marcu mija 25 lat od chwili, gdy na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu ukazał się pierwszy numer czasopisma pod redakcją Ewy Staniewicz. Te 25 lat to ¼ trwania naszej Uczelni. Dużo to i mało. Przez ten czas na łamach miesięcznika raz lepiej, a raz gorzej (jak to w życiu) relacjonowaliśmy wydarzenia na UAM, a Życie Uniwersyteckie stało się swoistą kroniką wydarzeń szacownej Uczelni. Gdy zaczynaliśmy, nie było strony internetowej, mobila czy mediów społecznościowych. Dziś te pożółkłe z czasem strony dawnego Życia są niejednokrotnie jedynym zapisem wydarzeń, których Państwo lub Państwa mentorzy byliście świadkami. Z całym szacunkiem odnoszę się do pracy byłych i obecnych redaktorów Życia. Do sprawców i twórców jego historii – dziennikarzy i pań naczelnych, które pismo prowadziły przede mną – Ewy Staniewicz i Jolanty Lenartowicz.

Przez te 25 lat wykonano mnóstwo dobrej pracy, a następne 25 zapowiada się naprawdę fascynująco – szczególnie w dobie internetu i mediów cyfrowych. Przyspieszamy. To konieczność. Dziś piszemy o nowej twarzy Życia i jej, jak to nazywają – funkcjonalnościach. Ale też w krótkim dodatku pochylamy się nad życiem. Zachęcam do lektury materiałów o tym, ile jest życia w kamieniu, o życiu po życiu, czy życiu w kosmosie...

Serdecznie dziękuję Państwu za to, że nas czytacie, za mniej lub bardziej uszczypliwie maile na temat jakości naszych materiałów. Dziękuję za uwagę nam poświęconą i proszę, bądźcie z nami dalej.

TAKIE JEST ŻYCIE 25 LAT



295 numerów ŻYCIA UNIWERSYTECKIEGO

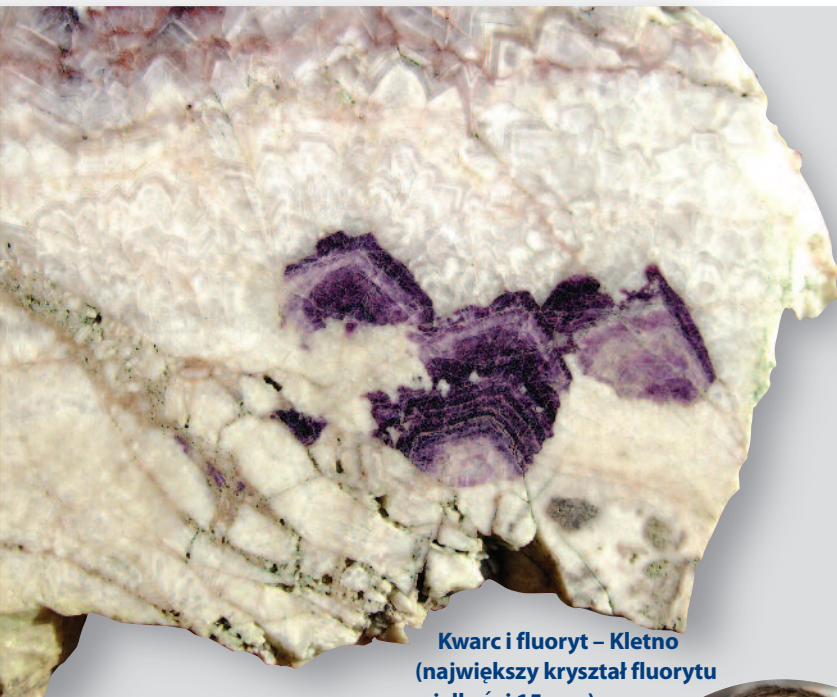
10 000 stron ŻYCIA UNIWERSYTECKIEGO

21 współpracowników ŻYCIA UNIWERSYTECKIEGO

5 adresów ŻYCIA UNIWERSYTECKIEGO

Kampus Ogrody
Collegium Minus
Nowowiejskiego
Collegium Maius
Św. Marcin 78

NIECH ŻYJE ŻYCIE



Kwarc i fluoryt – Kletno
(największy kryształ fluorytu
wielkości 15 mm)

ŻYCIE ZAMKNIĘTE W KAMIENIU

Z punktu widzenia biologicznego w kamieniach nie może istnieć znana nam forma życia. Ale jeśli zmienimy perspektywę i zgodnie ze starym powiedzeniem przyjmujemy definicję, że „życie to ruch”, to możemy dać odpowiedź twierdzącą. Geologia zna ślady życia biologicznego zawarte w skamieniałościach, ale to tylko są formy zmineralizowane i nieożywione.



**prof. Andrzej
Muszyński**

Wykazanie istnienia ruchu materii wewnątrz Ziemi w dużej mierze zależy od skali, jaką przyjmujemy. W skali globalnej istnieje wymiana – bardzo wyraźny ruch materii między geosferami Ziemi. Wiemy to z przebiegu fal sejsmicznych przez ziemski glob, powstałych w wyniku trzęsień ziemi i podziemnych prób nuklearnych. Ten ruch materii ku górze, w geologii widoczny jest bardzo w procesach magmowych w płaszczu i skorupie ziemskiej. Szczególnie zakończenie tych procesów widzimy na powierzchni w postaci dynamicznie przebiegających zjawisk wulkanicznych. Mówi się, „że Ziemia żyje”. Z tym dynamizmem jest związana ezoteryczna koncepcja Gaji. Gaja jest koncepcją wyrażaną jako żywa istota, jako żyjąca planeta Ziemia. W przyrodzie cały rozwój, wszystko odbywa się według określonych cykli wielkich i małych. W geologii wiemy, że te cykle przejawiają się w procesach powstawania i zanikania łańcuchów górskich, rozwoju kontynentów i ewolucji oceanów. Znamy też cykle krążenia poszczególnych pierwiastków w skorupie ziemskiej i atmosferze np. cykl krążenia pierwiastka węgla. Zatem ruch materii poprzez cykle rozwojowe jest ogólnym przejawem „życia” naszej planety.

Inną formę ruchu materii możemy zauważyć w skali wzrostu kryształów, które powstają z roztworów i ze stopów. Można w kryształach zobaczyć stopniowy wzrost, co wyraża się kolejnymi strefami wzrostu. Ten rozwój w czasie i przestrzeni przypomina stopniowy wzrost i rozwój roślin i zwierząt. Bez minerałów i zawartych w nich pierwiastków, nie można zbudować życia organicznego. Rośliny, zwierzęta i człowiek są zbudowane z wody i pewnych połączeń minerałów, które ożywia czynnik nieśmiertelny. Zatem materia nieożywiona jest niezbędna do utworzenia życia biologicznego.

ŻYCIE, CZY TAKIE DOSKONAŁE?

Życie, obiekt fascynacji i obiekt badań, którego fenomenu, pomimo niesłychanego rozwoju nauki ciągle nie potrafimy w pełni wyjaśnić. Z jednej strony, zachwyca kunsztownym sposobem kodowania informacji i misternymi mechanizmami regulatorowymi pozwalającymi na rozwój tak różnorodnych form życia i przystosowanych do tak różnych warunków środowiskowych. Z drugiej strony, wydaje się być wadliwie, szczególnie jeśli spojrzymy z perspektywy błędów w materiale genetycznym, mutacji przyczyniających się do rozlicznych chorób. Jak to się dzieje, że przy tak wielorakich mechanizmach naprawy DNA pojawiają się błędy? Dlaczego „błędne” geny nie są natychmiast eliminowane w procesie selekcji naturalnej?



**prof. Izabela
Makałowska**

W tysiącach laboratoriów naukowcy pracują nad tym, jak te błędy naprawić, a zrobić to można, przynajmniej w warunkach laboratoryjnych, na wiele sposobów. Przykładowo, można, wprowadzając DNA z prawidłową formą genu, zmusić komórki do produkcji białek potrzebnych do prawidłowego funkcjonowania lub prowadzących do śmierci komórki, co może mieć zastosowanie w terapiach przeciwnowotworowych. Można także korygować efekty działania takich wadliwych genów wprowadzając do komórki cząsteczki małych RNA wyciszających ekspresję konkretnego genu, oligonukleotydy, wyłapujące czynniki transkrypcyjne czy też rybozomy, chemicznie modyfikujące materiał genetyczny. W swoich działaniach posuwamy się nie tylko do naprawy błędów, ale także dość powszechnie ulepszamy naturę. Skutecz-

ŻYCIE NA INNYCH PLANETACH

Poszukiwanie drugiej Ziemi od stuleci spędza sen z powiek astronomów. Wiemy, że we Wszechświecie istnieją miliardy galaktyk, a w każdej z nich miliardy gwiazd. Wokół bardzo wielu gwiazd mogły uformować się planety. Problem w tym, jak je zobaczyć, zmierzyć i sprawdzić, jakie warunki tam panują. Niestety planety są wielokrotnie mniejsze od gwiazd, nie świecą własnym światłem i giną w blasku macierzystych gwiazd. Z tego powodu jeszcze 25 lat temu poszukiwanie planet poza naszym Układem Słonecznym, czy życia poza Ziemią wydawało się być zadaniem skazanym na porażkę.

Kiedy w 1992 roku prof. Aleksander Wolszczan odkrył pierwszy pozasłoneczny układ planetarny, okazał się on istnieć w pobliżu gwiazdy, wokół której takiego układu nie powinno być. Dlaczego? Otóż planety odkryte przez Wolszczana krążą wokół pulsara, czyli gwiazdy, która jest pozostałością po wybuchu supernowej. Czy układ planetarny miał szansę przetrwać wybuch? Do dziś jego pochodzenie jest zagadką. Ponadto pulsar zwykle jest źródłem zabójczego dla życia promieniowania gamma czy X (Roentgena).

Jeżeli chcemy znaleźć planety, na których mogłoby rozwinąć się życie, trzeba ich poszukiwać wokół gwiazd podobnych do naszego Słońca. Zakładamy w takim przypadku, że szukamy życia opartego na węglu i wodzie, które rzeczywiście powszechnie występują we Wszechświecie.

Pierwsze planety odkryte wokół „innych Słońc” okazały się być tzw. gorącymi Jowiszami, czyli masywnymi gazowymi planetami, krążącymi bardzo blisko swojej gwiazdy. Jednak w miarę rozwoju technik obserwacyjnych, odkrywano są planety o mniejszych masach, nawet takich

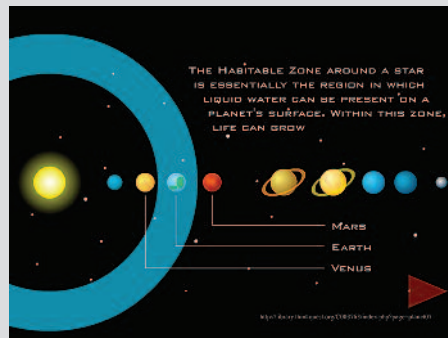


**prof. Agnieszka
Krysczyńska**

porównywalnych z Ziemią. Niektóre z nich obiegają swoje macierzyste gwiazdy w tzw. strefie ciągłego zamieszkania, co oznacza, że ilość ciepła dopływająca do planety od jej macierzystej gwiazdy pozwala na istnienie na jej powierzchni wody w stanie ciekłym. Czy woda rzeczywiście istnieje na takiej planecie to kolejne pytanie, na które trzeba poszukać odpowiedzi.

Potwierdzenie istnienia wody i śladów życia (metanu, dwutlenku węgla czy innych bardziej złożonych związków organicznych) możliwe jest poprzez badanie atmosfer planet pozasłonecznych i jest to wielkie wyzwanie dla współczesnej astronomii obserwacyjnej. Te zagadki prawdopodobnie uda się rozwiązać dzięki nowym, właśnie budowanym gigantycznym instrumentom czyli 40-metrowej średnicy teleskopowi E-ELT (European Extremely Large Telescope w ESO, Chile) oraz teleskopowi kosmicznemu Jamesa Webba (James Webb Space Telescope), który będzie następcą ponad 25-letniego teleskopu Hubble’a.

A może szukamy śladów życia zbyt daleko? Może w naszym Układzie Słonecznym też istnieją miejsca, gdzie mogło rozwinąć się życie? Np. księżyc Jowisza – Europa pokryty jest lodową taflą, pod którą może znajdziemy wodę w stanie ciekłym, a w niej...? Na Ziemi w ekstremalnych warunkach w głębinach oceanów, nawet na głębokości 5000 m można znaleźć żywe organizmy.



Rysunek przedstawia poglądowo tzw. strefę ciągłego zamieszkania wokół Słońca (niebieski pas), w której woda na powierzchni planety może występować w stanie ciekłym. Wielkości Słońca i planet oraz odległości narysowane bez zachowanej skali.

ność naprawiania jest na razie niewielka, a ulepszanie natury, które bardzo dobrze znamy w postaci GMO, budzi u wielu osób spore wątpliwości, a nawet obawy. Jest to temat do potężnej dyskusji, ale nie to jest tutaj motywem przewodnim. Konieczność, czy też możliwość poprawiania natury, nasuwa pytanie czy skoro „życie” może być polepszane, a przynajmniej polepszane z naszej, ludzkiej perspektywy, to jest ono takie doskonałe? Wydawałoby się, że nie, ale w tej grze zwanej „życiem” nie chodzi o jednostkę, a o gatunek i jego przetrwanie. W zmieniających się warunkach środowiskowych przetrwanie gatunku uzależnione jest, między innymi, od różnicowania pomiędzy osobnikami. Większe różnicowanie daje większe prawdopodobieństwo, że w innych warunkach, jeśli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy przeżyją i zapewnią ciągłość gatunkową. Natura, wprowadzając mutacje, a tym sa-

mym zmienność, „strzela na ślepo”. Niektóre z nich są natychmiast eliminowane, inne utrzymują się w populacji. Jedne są niekorzystne, inne obojętne, a jeszcze inne dają ich nosicielom przewagę, rozumianą jako możliwość wydania w istniejących warunkach większej liczby potomstwa. Ale to, co w jednych warunkach daje przewagę, w innych może być niekorzystne i vice versa. Klasycznym przykładem jest mutacja w genie kodującym hemoglobinę, której efektem jest anemia sierpowata. Jednakże osoby posiadające taki zmutowany gen są dużo bardziej odporne na malarię. Biorąc pod uwagę nieprzewidywalność zmian, jakie zajądą w warunkach środowiskowych, natura „przygotowuje” populacje na różne sytuacje. Tak, odbywa się to kosztem niektórych osobników, ale w dłuższej perspektywie daje większą szansę gatunkowi. Patrząc od tej strony „niedoskonałości” nie są już takie niedoskonałe.



WZÓR NA ŻYCIE

Zastanówmy się najpierw, czym jest matematyka. W największym uproszczeniu matematyka to nauka o znajdowaniu wzorców w zjawiskach. Każdy zauważa regularności w obserwowanych zjawiskach, ale nie każdy wyciąga wnioski z ich istnienia. Matematycy do perfekcji doprowadzili sztukę wyciągania wniosków z istniejących regularności.

Życie to przede wszystkim regularność, cykliczność pewnych procesów, które powtarzane wielokrotnie składają się na zjawisko tak złożone i skomplikowane, że nic w znanym nam Wszechświecie nie może się z nim równać.

Jak wydedukować z obserwacji życia podstawowe reguły, cegiełki budujące system, a następnie odtworzyć z tych prymitywnych zasad wszystkie konsekwencje ich wykonania i odczytać meta-zasady wyższego poziomu? Jest to niezwykle trudne! Można posłużyć się na przykład tzw. automatem komórkowym. To symboliczne i abstrakcyjne oddanie zjawiska życia ujęte w małej liczbie elementarnych reguł.



dr Bartosz Naskręcki

Przykładem jest mrówka Langtona – rzeźbiona mrówka porusza się jedynie do przodu, w lewo lub w prawo i zamienia kolory (biel i czerni) na płaszczyźnie. W ten sposób zmienia otaczające środowisko oraz swój stan. Czy z tak prostych reguł można odtworzyć życie prawdziwej mrówki albo innego drobniejszego organizmu? Oczywiście nie! Ale zdumiewającą konsekwencją zastosowanych reguł jest pojawiająca się po wielu tysiącach ruchów sekwencja ponad 100 kroków, które zaczynają powtarzać się w nieskończoność – wyłania się obłądna regularność, której nikt nie przewidział – jak w prawdziwym życiu!

Matematycy potrafią również podejść do życia z innej, bardziej holistycznej perspektywy, opisać meta-zasady w sposób przybliżony, uśredniony za pomocą równań różniczkowych i przyjmując, że cały proces przebiega w sposób ciągły, bez skoków. Tak ujęte życie nabiera interesującej dynamiki, można ilościowo badać zmiany populacji, rozwój i wymieranie gatunków, ale to już początek zupełnie innej historii...

ŻYCIE PO ŻYCIU

Tytułowe życie po życiu postrzegam w dwóch perspektywach. Pierwsza to działalność człowieka, jego spuścizna, to wszystko zostawia po sobie. Uniwersytet jest takim szczególnym miejscem, gdzie przeszłość miesza się z terażniejszością, nieustannie myśli się o przyszłości, szuka nowych wyzwań. Cały czas nam towarzyszy tutaj dziedzictwo poprzednich pokoleń wielkich uczonych. W tym kontekście nauka czyni pewne idee i ludzi z nimi związanych nieśmiertelnymi. Niektóre sprawy się zacierają z biegiem lat, inne na nowo są odkrywane, badane, analizowane. Nadal żyją. Jak ujął to Horacy-non omnis moriar.

Druga perspektywa to przestrzeń wiary, która podpowiada, że jest coś po śmierci. Można to kwitować prostym stwierdzeniem, że naukowo nie udowodniono w obiektywny sposób, że „tam” coś jest. Mijają lata, nauka się rozwija, a człowiek nieustannie tęskni do tego „innego świata”. Właśnie ta tęsknota, sposób jej wierzenia, przeżywania, celebrowania w liturgii jest przedmiotem badań i namysłu teologii. Dynamiczny rozwój nauk i technologii ostatnich dwustu lat miał zaspokoić wszystkie pytania o to, co jest po śmierci? Jak tam będzie? Co może się tam dziać z człowiekiem? W jakim będzie stanie? Czy spotka tam Boga? Z biegiem lat i rozwoju nauki mamy coraz więcej pytań. Nauka podzieliła się



ks. Dawid Stelmach

na bardziej zaawansowane subdziedziny, skupiając się na własnych obszarach badań. Jednak nadal pozostają otwarte pytania o cele ostateczne, ewentualną wieczność człowieka i istnienie Boga.

Teologia podpowiada, że człowiek w chwili śmierci staje przed Bogiem i poznaje swoją wieczność. Kończy się to, co za życia go ogranicza, znika śmierć, ból, cierpienie, strach. Wtedy też kończy się wiara, a zaczyna poznanie Boga w całej pełni. Bez żadnych ograniczeń. Czyż do tego nie dąży nauka w swym najdoskonalszym wydaniu – do poznania prawdy? Zbadania wszystkich tajemnic, które nurtowały człowieka od zarania dziejów? Dla chrześcijan ta perspektywa spotkania Boga po śmierci nie ma znamion naukowych. Jest raczej ukoronowaniem tej tęsknoty, spełnieniem się wszystkich najgłębszych pragnień. Dlatego sami chrześcijanie od początku mieli to poczucie pewnego rozdarcia w postaci tęsknoty za Niebem, za Bogiem. Tęsknota, która nadawała sens istnieniu na ziemi, w nadziei wiecznego Zbawienia.

Rekapituluując, widzę że drogi badań naukowych i wiary, często mają własne ścieżki, kierują się swoimi prawidłami. Jednak ostatecznie w tych obydwu wymiarach człowieczeństwa chodzi o poznanie prawdy. Jeśli nie za życia, to w życiu po tym życiu.

CHEMIA W ŻYCIU (UNIwersYTECKIM)

Chemik to ma klawe życie. Ledwie oko odemknie rano od razu chemia: woda – najbardziej „męczona” cząsteczka w Universum, mydło – sole kwasów tłuszczowych, skarpetka – chiralność (czemu znowu zakładam lewą na prawą nogę), zapach kawy – furfuryliol.

Za oknem przemiany – znowu ha-dwa-o, parowanie, skraplanie, piękno kryształów lodu (ponoć nie ma dwóch takich samych), ale już czekamy na wiosenną zieloną fotosyntezę. Jazda do pracy, znowu chemia, trywialne spalanie węglowodorów, mniej trywialne dopalanie katalityczne spalin. A gdyby tak wziąć wodór jako paliwo? Wtedy znowu woda jako produkt. Życie chemika: zestaw molekuł tych znanych i tych „naszych”, których ojcami i matkami jesteśmy. No i reguły, którym podlegają, mamy je w większości odkryte. Ktoś powie: słabo, co tu robić, jak paradygmat określony? No, robić jest co. Wymagania wobec nas rosną. A to zielona chemia (odczepcie się od paliw kopalnych), a to analityka wszystkiego – tania, szybka i miniaturowa. A nowe leki? Ciągłe ponad połowa rejestrowanych to małe cząsteczki autorstwa chemików. Materiały o unikalnych właściwościach, komputer kwantowy czy nanomaszyny – wszystko robi się, tak-



prof. Karol Kacprzak

że w Poznaniu. W życiu trochę z Boga mamy trochę z McGyvera. Chemik wie jak oznaczyć zawartość cukru w cukrze, jak usunąć plamę lub kogoś przeszkadzającego (ten aspekt do dziś dnia wizerunkowo nas obciąża). Potrafi zrobić „prąd” do herbaty i prąd z herbaty, jeśli potrzeba.

Chemia konstytuuje nam w miarę elegancki, dość przewidywalny i niezłe objaśniony świat. I to zarówno ten materialny, jak i ten duchowy. No, bo skoro nawet miłość to reakcje neurochemiczne z udziałem koktajlu różnych cząsteczek? Więcej, wyżej, piękniej, mądrzej – majstrujemy przy człowieku za pomocą molekuł. Szczęście – cząsteczki, pamięć – cząsteczki, piękno i młodość – cząsteczki. Niechby tylko z sensem i znając miarę!

Chemik przez całe życie reaguje, oddziałuje, pokonuje bariery aktywacji, zwiększa entropię, bywa kwaśny, słodki lub gorzki. Życie uniwersyteckie chemika to lata spędzone w laboratorium, które w pewnych okresach staje się jego drugim domem. Trwa w nim ciągła, międzypokoleniowa „transmutacja” materii i energii oraz uszlachetnianie umysłów i serc. Proces twórczy, raczej przyjemny, często katalizowany.

FOT. LUKASZ WOŹNY

ŻYCIE, CZYLI BYCIE

Pytanie „Skąd się wzięło życie” niektórych naukowców wprawia w zakłopotanie. Odpowiedzi precyzyjnej i wyjaśniającej absolutnie wszystko nie zna również językoznawca, ale w odróżnieniu od innych badaczy może stwierdzić, odwołując się do reguł etymologii, że rzeczownik życie pochodzi po prostu od czasownika żyć (jak *szycie od szyć, a kucie od kuć*).

Nie ma to jak prostota dowodzenia! Czasownikową podstawę *żyć* przejęliśmy z kolei w spadku po prasłowiańszczyźnie, a więc ogromnej wspólnoty kultur i języków, która trwała między dorzeczem Dniepru i Wisły przez kilkanaście wieków, prawie do przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa. W formie pisanej *żyć* zostało po raz pierwszy odnotowane, jak podają współczesnego dzieła leksykograficzne, dopiero w wieku XIV. Wywodzące się od niego *życie* ma swoje potwierdzenia tekstowe począwszy od następnego stulecia.

Na samym początku *żyć* oznaczało „być żywym, istnieć”. W konsekwencji *życie* to „bycie żywym, istnienie”. Obecnie *żyć* i *życie* znaczą o tyle więcej, o ile szerzej patrzymy na świat, przypisując typowo ludzkie bycie niekoniecznie ludzkim bytom, np. abstraktom bądź nawet rzeczom (mówimy w końcu, że *wspomnienia, obrazy, zdarzenia żyją w naszej pamięci*, albo że *cykl życia samochodu jest krótki*). Mimo różnych rozumień w zasadzie nikt nie ma wątpliwości, co



prof. Jarosław Liberek

znaczy *żyć* i *życie* (w czasie 30 lat pracy w Telefonicznej Poradni Językowej UAM nikt mnie nie zapytał o znaczenia tych wyrazów!), bo każdy jakoś żyje, więc wie, a wie, bo żyje. Wątpliwości dotyczą tego, jak żyjemy i jakie jest nasze życie, to jednak problem na osobną opowieść.

Na zakończenie pytanie konieczne: Skąd się wzięło „Życie Uniwersyteckie”? Tak zapisane jest nazwą własną bytu wiadomego o wiadomej genezie i żadnych wyjaśnień tu nie trzeba. A skąd się wzięło *życie uniwersyteckie*? Tak zapisane wyrażenie powstało (odwołam się znów do reguł) z połączenia rzeczownika *życie* i formy przymiotnikowej *uniwersyteckie* (nie ma jak prostota!). Historykom pozostawiam rozważania nad tym, kiedy na dawnych uczelniach wykształciły się życia uniwersyteckie w dzisiejszym rozumieniu. Jako językoznawca dam tym razem odpowiedź nie na podstawie reguł, ale polegając na zdobycach lingwistyki komputerowej. Ponieważ ogólnie dostępne programy cyfrowe niewiele mi pomogły, skorzystałem z FBL Riseracz. Po wpisaniu w okienko zapytań wyrażenia „życie uniwersyteckie” otrzymałem 1089 *żyć* uniwersyteckich. Najstarsze potwierdzenie znalazło się w Piśmie Dodatkowym do wydawanej w Warszawie „Gazety Porannej” z 1839 roku (nr 84 – 85, s. 3.). Szkoda, że to później niż Akademia Lubrańskiego, choć na wiele dziesięcioleci przed tak ważnym dla nas rokiem 1919.

FOT. LUKASZ WOŹNY

NOWA STRONA ŻYCIA

Wraz z wydaniem nowego „ŻYCIA UNIwersYTECKIEGO” w wersji papierowej, oddajemy dziś nową, rozbudowaną wersję cyfrową.

Od tej pory pod domeną UNIwersYTECKIE.PL znajdziecie Państwo najnowsze informacje z życia Uniwersytetu. Będzie to swoisty kolaż wydarzeń, opinii, spotkań, debat, prezentacji naukowych, a także utrwalonych w kadrze scen z życia codziennego uczelni...

Można by tak w nieskończoność.

Uniwersyteckie.pl, choć zgubiło w tytule pierwiastek życia, tego życia będzie poszukiwać... na uczelni oczywiście. Chcemy je prezentować każdego dnia, dodając nowe treści i wydarzenia. To będzie strona uczelni, jej pracowników i studentów, strona naszego wspólnego życia.

Co nowego? W poszczególnych kategoriach chcemy prezentować wydarzenia związane z nauką, kulturą, ale i odnosić się do bliskiego nam wszystkim stulecia. Na stronie stałe miejsce znajdą wszystkie wydziały uczelni. W specjalnej zakładce będzie można odnaleźć informacje o tym, co się dzieje, czy będzie się działo. Oczywiście sami tego nie wykonamy, więc jak mantrę – czyli po raz drugi – będę powtarzał prośbę o Państwa pomoc. W przyszłości chcielibyśmy, aby na każdym wydziale była osoba nas wspomagająca, z pełnym dostępem do CMS strony i z możliwością redagowania materiałów. To na pewno ubogaci, szczególnie zakładkę poświęconą uczelnianym wydziałom.

Na stronie znajdziecie Państwo galerię zdjęć czy filmów z naszej znakomitej wytwórni. Oczywiście swoje miejsce znajdzie tam też nasz miesięcznik i zawsze będzie można zajrzeć do pdf-a z ostatniego wydania lub wydań wcześniejszych.

Nie zapomnieliśmy o stronie mobilnej. Uniwersyteckie.pl budowane są w technologii responsywnej, więc przystosowanej do każdego ekranu, na którym będzie wyświetlane. Życie na smartfonie powinno się otwierać bez zarzutu. W tym celu zmieniliśmy serwery i przyspieszyliśmy odświeżalność strony.



Korzystając z okazji chciałbym serdecznie podziękować wszystkim, którzy pracowali przy tworzeniu strony, ale przede wszystkim Adamowi Pietrzykowskiemu i jego kolegom, bez których pracy nowe Życie byłoby niemożliwe.

Krzysztof Smura

Szukajcie nas na www.uniwersyteckie.pl i zycie.amu.edu.pl



„Przyłączcie się do nas!” Marzec 1968 w Poznaniu

„Prowodrzyżajść, w skierowanej przeciwko porządkowi publicznemu działalności, inspirowani przez znanych Wam z informacji prasowych, zdemoralizowanych reprezentantów »bananowej« młodzieży warszawskiej – wykorzystywali dezorganizację środowiska akademickiego oraz występujące jeszcze niedociągnięcia w pracy wychowawczej”.

Tymi słowy I sekretarz KW PZPR w Poznaniu Jan Szydłak próbował w czasie wielkiego partyjnego wiecu zwołanego 16 marca 1968 roku na placu Mickiewicza pomniejszać istotę poznańskiej odsłony Marca 1968 i minimalizować polityczne straty poniesione w tych dniach przez partię władzy w stolicy Wielkopolski. Gwałtowna mobilizacja w partyjnych szeregach wskazuje jednak, że były one wyjątkowo dotkliwe. Wiecowe zaklinanie rzeczywistości nie mogło bowiem zmienić faktu, że przeciwko opresyjnemu systemowi zbuntowało się pierwsze pokolenie urodzone w PRL.

Studencki opór wobec trudnej do zaakceptowania rzeczywistości politycznej, która nastąpiła w Polsce po 1945 r. ma w Poznaniu długą i piękną tradycję. Można by nawet rzec, że układa się ona w pewną cykliczną sekwencję zapoczątkowaną wielkim protestem ulicznym zorganizowanym w maju 1946 r. w geście solidarności z akademikami z Krakowa, którzy odważyli się obchodzić zakazane święto narodowe Trzeciego Maja. W tych dniach aresztowano w Poznaniu od 633 do nawet tysiąca osób. 11 lat później, w maju 1957 r., poznańscy studenci świętowali swoje pierwsze, powojenne juwenalia. Potrzeba odreagowania „nocy stalinizmu” była wśród nich tak powszechna, że przerodziła się w wielki „antysocjalistyczny i antyradziecki” happening w centrum miasta. Jedynie wyraźna chęć uspokojenia nastrojów społecznych panujących w Poznaniu w przededniu pierwszej rocznicy Czerwca 1956, która dominowała wówczas w gmachu KW PZPR, sprawiła, że ostatecznie nie wszczęto podsuniętego prokuraturze przez SB postępowania wymierzonego w miejscowe środowisko studenckie. Nie minęło kolejnych 11 lat i poznańscy studenci ponownie weszli w spór z „ludową władzą”.

U bezpośrednich źródeł ogólnopolskiego protestu społecznego, który przeszedł do historii jako Marzec 1968 legła decyzja władz, które wraz z końcem stycznia 1968 r. zdecydowały się zdjąć z afisza Teatru Narodowego *Dziady* Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka. Pociągnęło to za sobą przybierający z każdym tygodniem na sile opór demonstrowany w rozmaity sposób przez warszawskich studentów oraz wspierających ich w tym dziele przedstawicieli liberalnej inteligencji (m.in. S. Kisielewski, P. Jasienica, A. Slonimski). Przesilenie nastąpiło 8 marca 1968 r., gdy komunistyczne władze siłą spacyfikowały studentów Uniwersytetu Warszawskiego protestujących na Krakowskim Przedmieściu. Wieść o dramatycznych wydarzeniach w Warszawie, a zwłaszcza o brutalnych interwencjach ZOMO, wspieranych przez tzw. aktywnych robotniczy, prędko ogarnęła wszystkie większe ośrodki uniwersyteckie w kraju, co w sporej mierze było zasługą Radia Wolna Europa.



Wiec PZPR na pl. A. Mickiewicza, 16 III 1968 r.

FOT. J. UNIERZYSKI, ZE ZB. MUZEUM HISTORII MIASTA POZNAŃ

Poznań nie był bynajmniej białą plamą na mapie studenckich demonstracji, które przetoczyły się wówczas przez PRL. Pierwsze ulotki nawołujące do protestu w imię solidarności z kolegami z Warszawy pojawiły się w poznańskich akademikach w niedzielę 11 marca 1968 r. Nazajutrz o godz. 15 na pl. Mickiewicza zebrało się ok. tysiąca młodych ludzi, którzy poprzez wznoszone hasła jednoznacznie zmanifestowali charakter swojego zgromadzenia. „Prasa kłamie”, „Żądamy *Dziadów*”, „Żądamy uwolnienia studentów Warszawy”, „Niech żyją robotnicy Cegielskiego” – to tylko niektóre z nich. Wieczorem w tym samym miejscu zebrało się już ok. 3 tys. studentów, co jest liczbą godną szacunku, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że pod koniec lat 60. na studiach dziennych uczyło się w Poznaniu ok. 17 tys. osób. Atmosfera gęstniała z każdą

chwilą. Studenci przynieśli z sobą transparenty (m.in. „Żądamy wolności słowa!”), a programowe i powielane po wielokroć hasło: „Prasa kłamie”, uzupełnili o demonstracyjne palenie gazet. Wreszcie ok. godz. 21 przeszli pod położony nieopodal gmach KW PZPR, co najwyraźniej było jawnym nawiązaniem do scenariusza napisanego w 1956 roku przez poznańskich robotników.

O ile pierwszego dnia milicja nie interweniowała, to 13 marca władze przeszły do kontrofensywy. Z jednej strony posłały „w bój” znaczne siły ZOMO, które w ciągu kolejnych kilku dni będą „przywracać spokój” na ulicach Poznania (zwłaszcza na pl. Mickiewicza i w obrębie Domów Studenckich) przy pomocy gumowych pałek i gazów łzawiących. Z drugiej zaś rozwinęły akcję informacyjno-propagandową, na którą składały się zarówno wymuszone i wyjątkowo dziś dojmujące apele władz poznańskich uczelni (*vide* odezwa Kolegium Rektorów Miasta Poznania z 13 III 1968 r.: „Dajcie zdecydowany odpór wicherzycielom, którzy chcą zakłócić spokój waszej pracy i spokój całego miasta”), jak i nagonka na łamach lokalnej prasy, która po nazwiskach postponowała najbardziej aktywnych „prowodrzyżajców i wicherzycieli”. Finałowym zamknięciem owej koordynowanej z gabinetów KW PZPR operacji był ów „spontaniczny” i wspomniany na wstępie wiec na placu Mickiewicza z udziałem ok. 50 tys. „oburzonych” członków PZPR, który bez wątpienia stanowi jeden z najsmutniejszych rozdziałów w powojennych dziejach Poznania. Ważkim dopełnieniem poznańskiego Marca 1968 były w końcu represje. Tylko do kwietnia 1968 r. zatrzymano w Wielkopolsce 214 osób.

Piotr Grzelczak

uniwersyteckie.pl



Pani Dyrygent

Nie lubi określenia dyrygentka; woli, kiedy chórzyci zwracają się do niej: Pani dyrygent. To, jej zdaniem, oddaje istotę zawodu, idealne połączenie pierwiastka kobiecości z tym czymś, co powinien mieć dyrektor chóru. Co to jest: zdecydowanie, siła charakteru i charyzma? Beata Bielska ma tego wszystkiego w nadmiarze. Mówi, że scena to jej miejsce na ziemi – myślę, że nie ma w tym cienia kokieterii.

Miała 14 lat, kiedy po raz pierwszy poprowadziła chór. W jej rodzinnym Olsztynie właśnie nastała moda na śpiewy z Taizé. Znajomy ksiądz poprosił ją – uczennicę szkoły muzycznej w klasie wiolonczeli – o poprowadzenie zespołu. Jak mówi, z przerażeniem podjęła się tego zadania i dziś, z perspektywy czasu, może powiedzieć, że był to strzał w dziesiątkę. Wtedy po raz pierwszy doświadczyła, jak fascynujące może być współbrzmienie ludzkich głosów, jak wiele można zrobić z dźwiękiem. Wszystko to trwało 3-4 lata, nie dłużej. Chór miał się znakomicie, kiedy postanowiła, że wyjeżdża do Poznania. Wcześniej jednak przyszło znużenie muzyką. Po dwóch maturach; w szkole muzycznej i LO stwierdziła, że chce zająć się czymś innym. Jej wybór padł na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, gdzie zaczęła studiować historię, skrycie marząc o pracy archeologa i dalekich podróżach. Szybko jednak okazało się, że rzeczywistość odbiega od tego, czego spodziewała się, mając w pamięci filmy przygodowe, niespodziewanie też dla siebie samej zaczęła jej brakować muzyki. Wtedy w tajemnicy przed rodzicami zdecydowała, że będzie zdawać egzamin do studium piosenkarskiego przy ul. Głogowskiej w Poznaniu. Rodzicom nie od razu powiedziała o swojej decyzji. Bała się, że będą ją przekonywać, aby została, a ona już podjęła decyzję.

Wkrótce po przyjeździe do Poznania za namową kolegi trafiła do chóru Jacka Sykulskiego. *Chór wtedy przygotowywał się do koncertów w Rzymie, ćwiczyli Palestrina sicut cervus. Próba nie szła tak, jak powinna, a Jacek bardzo się denerwował. W końcu przerwał i powiedział: teraz te dwie nowe. Byłyśmy bardzo stremowane, ale chyba dobrze poszło, bo nie tylko dostaliśmy się do chóru, ale nawet załapałyśmy na koncerty w Rzymie.*

Niedługo po tym zdecydowała, że rozpocznie studia w Akademii Muzycznej, wybierając dyrygenturę. I tak zaczęła się na dobre jej przygoda z muzyką trochę inną, bo dotychczas chór kojarzył jej się z muzyką liturgiczną bądź



FOT. LUKASZ WOŹNY

sensu stricte klasyczną. To, co robił Jacek Sykulski, zafascynowało ją i wciągnęło.

Nowoczesny chór to zmiana podejścia do dźwięku. Głos ludzki zaczął być postrzegany jako najbardziej doskonały instrument muzyczny. W zależności od tego, jak weźmiemy oddech, jak ułożymy język, jaką zrobimy minę, tak głos będzie brzmiał inaczej. To jest coś, co Jacek przywiózł z Kanady. Nauczył nas, jak wydobywać dźwięk, jak szukać nowych brzmień. Mamy w gardle niesamowity instrument, który jest w stanie zastąpić całą orkiestrę. To może być zarówno ciche piano, jak i wielkie, potężne fortissimo – brzmienie, które już nie kojarzy się z liturgią, ale z muzyką rockową.

Śpiewając w Chórze Akademickim zrozumiała też, że chór może również śpiewać muzykę rozrywkową. Nagle okazało się, że jest w tym wszystkim cała gama różnych możliwości, że śpiewanie może być nie tylko zabawą, ale też prawdziwą sztuką. Obserwując Jacka Sykulskiego nauczyła się, że to od dyrygenta zależy, jaki charakter będzie miał utwór, jak będzie zaśpiewany i w końcu ile każdy chórzysta z siebie da. Bo to dyrygent powinien chórzystę przyciągać, magnetyzować.

Nowy etap w jej życiu rozpoczął się z chwilą, kiedy Jacek Sykulski przekazał jej Chór Akademicki. Wtedy musiała zmierzyć się z nową rzeczywistością. Co innego śpiewać, czy nawet asystować dyrygentowi, a co innego kierować chórem. Przede wszystkim musiała do siebie przekonać ludzi, zarówno muzycznie jak i tak po prostu, po ludzku. To był długi proces. Część osób odeszła, ale ci, którzy zostali, tworzą teraz jej zespół. Przyszli też nowi, którzy nie znają jej jako Beci, koleżanki z zespołu. Dla nich jest Panią Dyrygent – i dobrze, niech tak zostanie.

Wychodzę z założenia, że w śpiewaniu potrzebna jest pasja. I jeśli ktoś ma predyspozycje, słyszy, na przesłuchaniu dobrze reaguje na moje uwagi, potrafi powtórzyć to, co mu zagram, umie zapanować nad tremą – to dla mnie nie musi czytać nut. Co więcej, uważam, że ludzie nie znający nut są jeszcze bardziej wartościowi. My muzycy jesteśmy w tym względnie trochę upośledzeni, jeśli chodzi o wykonawstwo. Nie mamy pamięci muzycznej. Moi chórzyci, którzy w większości nie czytają nut, potrafią nauczyć się na pamięć Requiem Mozarta. I to w głosie pośrednim, np. w alcie, gdzie te melodie nie są ani ładne, ani łatwe do zaśpiewania. Oni mają to wszystko w pamięci, całe 1,5 godziny.

Początkowo nie wszystkie próby wychodziły. Jak mówi, tak naprawdę zadowolona jest, statystycznie, z co trzeciej, ale wtedy tego jeszcze nie wiedziała. Musiała się pilnować, aby nie krzyczeć, nie narzekać. Teraz wie, że to proces. Najpierw jest czytanie nowego utworu, zespół marudzi, że mu się nie podoba, ktoś wyciąga komórkę, inny nie może się skupić, próby trwają nadal, mozolnie, aż w końcu przychodzi przełom. Utwór nabiera kształtu, brzmi i nagle wszystkim wszystko się podoba. Jest dobrze.


Wydaje mi się, że jestem osobą, która ich przyciąga, ale z drugiej strony chór jest jak dyrygent. Ja w zespole mam całe mnóstwo silnych osobowości, czasem trudno mi z nimi wszystkim wytrzymać. Z drugiej strony, jak koncertowaliśmy pod koniec ubiegłego roku, to przychodzili solidarnie nawet w trakcie choroby, na antybiotykach i z temperaturą. To o czymś świadczy, bo normalnie ludzie biorą wolne i zostają w domu. Chcę powiedzieć, że to są fajni, mądrzy, młodzi ludzie. Chłoną to, co do nich mówię. Ale też nie każdego przyjmą do zespołu. Wszyscy musimy nadawać na tych samych falach i mieć w sobie nutkę szaleństwa, bez tego ani

rusz... Jak w takiej dużej, włoskiej rodzinie: raz się kochamy, raz nienawidzimy.

Jako przykład podaje trasę koncertową po Chorwacji. Chórzyci dla rozładowanie emocji, kiedy po raz kolejny popsuł się autokar, wymyślili, że każdy z nich ma wirtualny granat, który może zdetonować w wybranym przez siebie momencie. Na hasło granat wszyscy musieli położyć się na ziemi. Oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami. Na koncercie nie było wolno użyć granatu, ale po, już – tak. Hasło padło w momencie wręczania nagrody. Nie było rady – wszyscy padli na ziemię. Zamieszanie było ogromne i to nie tylko na scenie...

W tej chwili przygotowują się do koncertu, który jest częścią projektu realizowanego od kilku lat: Tribute to Michael Jackson symfonicznie. Chór Akademicki śpiewa tam w towarzystwie takich gwiazd jak Kuba Badach, Natalia Kukulska, Hania Stach, Kasia Cerekwicka. W koncercie bierze też udział orkiestra symfoniczna, zespół Riffertone oraz band pod kierownictwem Jacka Piskorza. Te koncerty ewoluują, za każdym razem są inne. To dla wszystkich niezapomniana przygoda muzyczna.

To bardzo ciekawe doświadczenie – mówi Bielska – Okazuje się, że Chór Akademicki może zaśpiewać zarówno IX Symfonię Beethovena, jak i utwory z repertuaru Michaela Jacksona. Jesteśmy postrzegani jako prekursorzy rozrywkowej muzyki chóralnej.



Muzycznie spróbowała już wszystkiego, śpiewała z gwiazdami największego światowego formatu: Placido Domingo, Aleksandrą Kurzak i Roberto Alagna

Ma wrażenie, że muzycznie spróbowała już wszystkiego, śpiewała z gwiazdami największego światowego formatu: Placido Domingo, Aleksandrą Kurzak i Roberto Alagna, ale ciągle ma wielką ochotę próbować dalej. Prywatnie lubi ciężkie brzmienia. W liceum słuchała Nirwany, teraz w wolnych chwilach Apocalyptic, Nightwish czy Pentatonix. I właśnie ten ostatni zespół chciałaby zaprosić do Polski na wspólny koncert. Na razie to tylko marzenia, ale, kto wie, może w przyszłości. Tymczasem przygotowuje się do kolejnych koncertów. Ostatnie pół roku poświęciła na próby i przygotowanie nowego repertuaru, teraz czas to zaprezentować. Czeka też na nowych chórzystów, osoby, które chcą odkryć siebie na nowo, przekroczyć własny wstyd i słabości i przeżyć nieznaną im jeszcze emocje.

O sobie mówi: „mam 29 lat i nie idę dalej”. Lubi podróże – ostatnio z plecakiem i w adidasach zwiedziła Maroko. Nie znosi operetki i Myszki Miki. Sportu też nie uznaje, ale za to chętnie jeździ rowerem. Poza tym w życiu Pani Dyrygent nie ma za dużo czasu na pasje, bo, jak mówi, muzyka to zazdrosna kochanka i nie toleruje konkurencji. Dobrze znana z występów w Auli Uniwersyteckiej, prywatnie zaskakuje głosem dźwięcznym, melodyjnym, no i śmiechem, bo Bielska dużo się śmieje... Potem jest osobowość. Przychodzi na rozmowę, z błyskiem w oku opowiada o muzyce, kolejnych koncertach i zespole, a potem wychodząc, zapomina płaszcz. Po prostu – jak to kobieta.

Magda Ziółek

CENTRUM SZYFRÓW, A NIE MUZEUM ENIGMY!



FOT. FACEBOOK / NEW AMSTERDAM

Mimo, że nazwa Centrum Szyfrów Enigma została przyjęta, już w lutym 2016 roku, w przestrzeni publicznej często pojawia się inna: Muzeum Enigmy.

Decyzję w tej sprawie podjęto w Gułtowach, po burzliwej dyskusji zespołu projektowego (powołanego przez Prezydenta Miasta Poznania Jacka Jaśkowiaka). Zdecydowano wówczas, że pełna (oficjalna) nazwa będzie brzmieć: Centrum Szyfrów *Enigma* im. Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego z możliwością skrótu: Centrum Szyfrów *Enigma*. Uchwały – nawet te najbardziej doniosłe i potrzebne nie zaistnieją w przestrzeni publicznej, jeśli nie zyskają społecznego poparcia. Tymczasem język dąży do ekonomii eliminując w procesie komunikacji, to co go utrudnia lub spowalnia. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że w mediach już od 2013 roku Centrum funkcjonuje jako Muzeum Enigmy – nazwa, marketingowo pewnie lepsza i odpowiednio kojarząca się, która jednak nie oddaje idei planowanej placówki. Zebraliśmy kilka opinii związanych z dyskusją o nazwie, i o tym co powinno promować Centrum Szyfrów. **mziol**

PROF. KAZIMIERZ ILSKI Wydział Historyczny UAM



Muzeum Enigmy? Jestem stanowczo przeciwny temu, aby powstające w dawnym Collegium Historicum muzeum przez swą nazwę podnosiło znaczenie pamięci o niemieckiej maszynie szyfrującej.

Pomniki fundujemy po to, aby upamiętnić osoby, czyny i idee, które są źródłem naszej dumy. Jestem zwolennikiem stawiania prostych pytań. W tym przypadku chcemy upamiętniać poznańskich kryptologów, których praca doprowadziła do złamania kodów maszyny szyfrującej wroga i w wyniku tego wpłynęła na przebieg wojny – zapewne na uratowanie kolejnych tysięcy ofiar w krajach koalicji, walczącej z hitlerowcami.

Od takiej prostej konstatacji trzeba zaczynać; czcimy poznańskich kryptologów, czcimy tych, których należy wspominać z imienia, czcimy Uniwersytet, na którym mogli rozwinąć swe talenty.

W projekcie widzę także jakieś zachowawcze, zgoła konserwatywne stanowisko, aby czcić naszych bohaterów fundowaniem muzeum.

Lepiej byłoby, gdyby powstał „warsztat”, sala ćwiczeń, najlepiej może Laboratorium kryptologiczne im. Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego, Henryka Zygalskiego.

Nie ma powodu ulegać poglądom marketingowym, że słowo Enigma będzie rozpoznawalne w Internecie. Czcimy tych, którzy złamali ten szyfr, a nie tych, którzy go konstruowali i używali dla zbrodniczych celów.

FOT. MACIEJ MĘCZYŃSKI

PROF. ANDRZEJ LESICKI
Rektor UAM



Złamanie kodu hitlerowskiej maszyny szyfrującej Enigma ułatwiło aliantom zwycięskie zakończenie II wojny światowej. Pokrzyżowało plany Wehrmachtu w działaniach na lądzie, ograniczyło też skuteczność Luftwaffe.

Przechwytywanie rozkazów wysłanych z kwatery admirała Dönitza do dowódców „wilczych stad” U-Bootów polujących na konwoje statków zaopatrujących Sprzymierzonych umożliwiło skuteczną obronę okrętom eskorty. Można śmiało powiedzieć, że rozkodowanie instrukcji szyfrowanych przez Enigmę skróciło II wojnę światową o kilka lat, ocalając tysiące, a może miliony istnień ludzkich.

Te fakty są powszechnie znane. Znacznie mniejsza jest wiedza o tym, kto przyczynił się do rozwikłania tajemnicy Enigmy. Anglicy przypisują ten sukces Alanowi Turingowi, ale wybitny brytyjski matematyk nie zdołałby go osiągnąć bez dokonania zespołu polskiego Biura Szyfrów z Marianem Rejewskim, Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygalskim na czele. Trzech genialnych matematyków, absolwentów Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego naszego Uniwersytetu Poznańskiego. Dlatego tak istotne jest właściwe spreycyzowanie celu i misji muzeum powstającego w dawnym Collegium Historicum UAM, a więc w budynku zbudowanym na miejscu gmachu, w którym przed wojną działało Biuro Szyfrów. Czy nowopowstające muzeum rozślawi genialnych uczonych? Pokaże, że sukces polskich kryptologów to także ich wkład w rozwój informatyki? Czy goście przyjeżdżający do Poznania, by zobaczyć genialną niemiecką maszynę lub jej replikę, wyjadą z naszego miasta wzbogaceni o wiedzę na temat tego ważnego dokonania polskiej nauki?

Projekty zakładają powstanie placówki, w której interaktywnie królować będzie matematyka i informatyka, oczywiście w przystępnej formie. To bardzo dobrze, bo nowe formy edukacji pozwalają dziś skutecznie dotrzeć do publiczności, zwłaszcza najmłodszej. Moim zdaniem powodzenie tej wspaniałej inicjatywy zależy również od trafnej nazwy miejsca, które chcemy stworzyć wspólnie z wojewódzkim i miejskim samorządem. UAM proponuje, by nosiło ono nazwę „Centrum Szyfrów Enigma im. Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego”. Czy to dobra nazwa? Może to ona powoduje, że zbyt często w przestrzeni publicznej pojawia się skrót „Muzeum Enigmy”, co – moim zdaniem – kieruje uwagę przede wszystkim na maszynę szyfrującą, a nie na jej pogromców. Wyraz „enigma” oznacza też tajemnicę, zagadkę, jest słowem rozpoznawalnym na świecie. Z pewnością Enigma była cudem techniki, wielkim osiągnięciem kryptologii. My jednak chcemy słać przede wszystkim osiągnięcia naszych uczonych. Dla twórców Centrum Szyfrów najważniejsza powinna być promocja polskich matematyków, którzy złamali kod maszyny i dopiero od niedawna wychodzą z cienia.

Czy zatwierdzona nazwa w pełni oddaje tę ideę?

PROF. JERZY JAWORSKI
Wydział Matematyki i Informatyki UAM



Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, będąc w Wielkiej Brytanii, po raz pierwszy spotkałem się z programem The Enigma Project Simona Singha, wielkiego popularyzatora matematyki i fizyki.

Program ten był później realizowany w ramach *Millenium Mathematics Project* (przy współpracy z Cambridge University), by w końcu, przynajmniej w jakimś zakresie, stać się częścią oferty edukacyjnej Bletchley Park. W taki właśnie piękny i mądry sposób od ponad dwudziestu lat rozpowszechniana jest wiedza o osiągnięciach ośrodka w Bletchley wśród najmłodszych Brytyjczyków. To, co mnie uderzyło przy pierwszym kontakcie w latach 90-tych, to całkowita marginalizacja wkładu Polaków w sukces ośrodka Bletchley. Dzięki staraniom i inicjatywom wielu osób już od wielu lat na stronach tych projektów znajdziemy bardziej pełne i rzetelnniejsze informacje o sukcesie i wkładzie Polaków. Jednak biorąc pod uwagę to, co usłyszeliśmy na wykładzie dra Marka Grajka w czasie drugiego Dnia Kryptologii, może się okazać, że polski wkład w sukcesy Bletchley Park nie został jeszcze właściwie doceniony. Zawsze marzyłem o polskiej, a przynajmniej wielkopolskiej wersji Enigma Project. (...)

Historia złamania Enigmy to również wspaniała okazja do pokazania siły umysłu ludzkiego – mocy matematycznego rozumowania i wagi technicznych rozwiązań. To świetna okazja do uwypuklenia uniwersalności nauk matematycznych, które możemy, a nawet musimy stosować w codziennym życiu. Współczesna kryptologia opiera się na naukach matematycznych, a bez protokołów kryptologicznych, bez wiary w ich bezpieczeństwo nie potrafilibyśmy już dzisiaj normalnie egzystować. Chciałbym, by po wyjściu z *Centrum Szyfrów ENIGMA im. Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego* każdy ze zwiedzających z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę.

GRZEGORZ KAMIŃSKI
Pełnomocnik Prezydenta ds. Funduszy Europejskich, UMP

Od pewnego czasu coraz więcej słyszymy o powstającym Centrum Szyfrów Enigma. Dziś przyjrzymy się nieco tej placówce, odszyfrujemy jej nazwę i poznamy plany związane z obecną i przyszłą działalnością.

Centrum Szyfrów Enigma im. M. Rejewskiego, J. Różyckiego i H. Zygalskiego, bo tak właściwie będzie nazywać się instytucja, nie będzie muzeum w tradycyjnym sensie. Można powiedzieć, że będzie to multimedialne centrum edukacyjne. Nie znaczy to, że w Centrum nie będzie eksponatów. Są one przewidziane, jednak w ograniczonym zakresie.

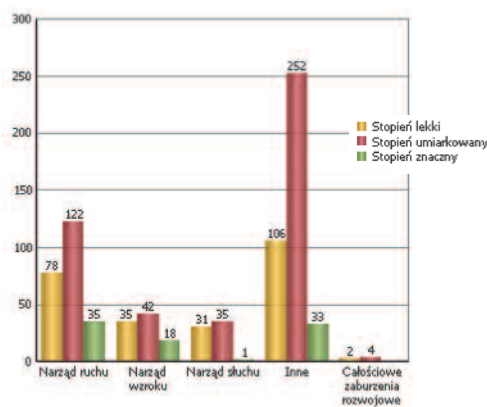
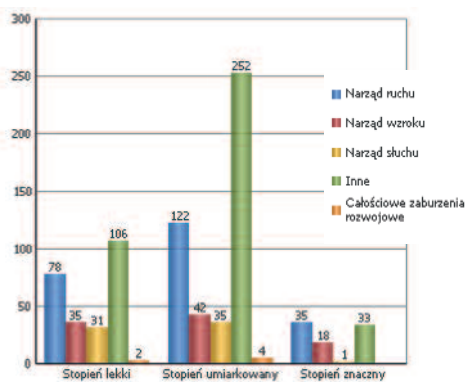
Tytułowe szyfry będą zarówno pretekstem do opowieści o Enigmie i historii jej złamania, jak też zachętą do głębszego poznania świata nauk ścisłych z matematyką i informatyką na czele, które są nieodłącznym elementem dzisiejszej cywilizacji cyfrowej.

Niepełnosprawność nie zmniejsza wymagań

„Niepełnosprawni są głupi”, „Niepełnosprawnością można się zarazić”, takie przekonania, chociaż wydają się nam absurdalne, panują we współczesnym świecie.

Zestawienie osób niepełnosprawnych na UAM wg stopnia i rodzaju niepełnosprawności

Stopień niepełnosprawności	Metryki		Liczba studentów				Ogółem
	Typ	Narząd ruchu	Narząd wzroku	Narząd słuchu	Inne	Całościowe zaburzenia rozwojowe	
Stopień lekki		78	35	31	106	2	252
Stopień umiarkowany		122	42	35	252	4	455
Stopień znaczny		36	18	1	33		88
Ogółem		236	95	67	391	6	795



Brak prawidłowej i wielopłaszczyznowej integracji i prawidłowego przekazywania wzorców zachowań oraz wartości doprowadził do wykluczenia osób z niepełnosprawnościami. W Polsce bez względu na sposób kształcenia, kierunek studiów czy rodzaj niepełnosprawności, studenci z niepełnosprawnościami traktowani są na równi z innymi. Student z niepełnosprawnością staje przed różnorodnymi obowiązkami w toku studiów. Niepełnosprawność nie zwalnia od odpowiedzialności, nie zmniejsza wymagań. Mając jednak na uwadze trudności wynikające z niepełnosprawności istnieje wielopłaszczyznowe wsparcie, aby edukacyjna oferta uniwersytecka była dostępna dla wszystkich.

Uniwersytet Adama Mickiewicza jest jedną z najbardziej znanych uczelni wyższych w kraju. Znaczącą grupę społeczności studenckiej stanowią osoby z różnorodnymi niepełnosprawnościami. Najnowsze dane opracowane przez Centrum Zarządzania Infrastrukturą i Projektami Informatycznymi UAM wskazują, iż w tym roku akademickim na Uniwersytecie kształcą się 795 osób z wielorakimi niepełnosprawnościami. Dane te przedstawia powyższe opracowanie.

Rozpoczęcie studiów wyższych jest niewątpliwie nowym etapem w życiu każdego człowieka, budzi wiele wątpliwości i stawia przed jednostką szereg pytań i nowych wyzwań. Podjęcie edukacji na uczelni wyższej w wielu przypadkach powiązane jest z opuszczeniem rodzinnej miejscowości, czyli wyjścia poza sferę komfortu – miejsca znanego i pozornie bezpiecznego. Przy Uniwersytecie Adama Mickiewicza funkcjonuje afiliowana organizacja Zrzeszenie Studentów Niepełnosprawnych, które powstało z inicjatywy mgr Romana Durdy w 2004 roku i działa w sposób aktywny na rzecz studentów z niepełnosprawnościami. Warto zwrócić uwagę



niekających z niepełnosprawności, UAM oferuje różnorodne formy wsparcia i pomocy, do których możemy zaliczyć między innymi:

- stypendium specjalne dla studentów niepełnosprawnych;
- indywidualną organizację studiów;
- wsparcie asystenta dydaktycznego/ tłumacza języka migowego;
- wypożyczanie sprzętu wspomagającego słyszenie – systemów FM;
- miejsce w domach studenckich przystosowanych do potrzeb studentów z niepełnosprawnością;
- lektoraty języka angielskiego dla studentów nie (do) słyszących w Multimedialnej Pracowni Nauki Języków Obcych;
- zajęcia z praktycznej nauki języka polskiego dla studentów z wadą słuchu;
- zajęcia logopedyczne;
- spotkania z konsultantem ds. trudności w procesie studiowania;
- udział w obozach sportowych i szkoleniowych;

Bogata oferta edukacyjna oraz formy wsparcia na UAM powodują, że stale wzrasta liczba studentów z dysfunkcjami. Jest to ogromne osiągnięcie w dziedzinie integracji i budowania relacji międzyludzkich. Szczególne podziękowania jako przewodnicząca Zrzeszenia Studentów Niepełnosprawnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu kieruję do Rektora UAM prof. Andrzeja Lesickiego oraz Prorektora ds. studenckich prof. Bogumiły Kaniewskiej za nieopisane wsparcie dla działalności ZSN UAM Ad Astra, poświęcony czas, zrozumienie, wzbudzanie refleksji i działań, które we współczesnym świecie wyznaczają prawidłową drogę.

Emilia Wieczorek – przewodnicząca ZSN UAM Ad Astra

Integracja europejska na peryferiach

Collegium Polonicum jako siedziba Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego ma z dwumiastem Słubice-Frankfurt nad Odrą szczególną lokalizację, dzięki której proces integracji europejskiej jest dostrzegalny na co dzień. Procesy oceny i zachowania własnej kultury oraz tożsamości jawią się w kontekście zanikających granic jako zjawiska o charakterze abstrakcyjnym; dla niektórych środowisk stanowią one jednakże niemal realne zagrożenie. Wydaje się, że liczba tych osób w ostatnim czasie sukcesywnie wzrasta. Na terenach przygranicznych wspomniane powyżej procesy należą do codzienności.

Zanikanie barier pomiędzy krajami europejskimi nie jest procesem ani automatycznym, ani też nieodwracalnym. Jego realizacja wymaga stałego towarzyszenia i wspierania – również poprzez refleksję naukową. Jako pracownik Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego realizuję obecnie projekt badawczy w ramach Narodowego Centrum Nauki. Dotyczy on „kultury planowania przestrzennego w małych i średnich miastach” w Polsce i w Niemczech. W ramach dyskusji zdominowanej przez zagadnienie rozwoju silnych regionów i metropolii ten typ miast często jest w refleksji naukowej pomijany, choć jest on podstawowym składnikiem europejskiej struktury osadniczej oraz – w przypadku Polski – miejscem życia prawie jednej trzeciej ludności całego kraju. Analizuję m.in. procesy krystalizowania się własnej tożsamości i funkcjonalności tychże miast jako lokalnego lub subregionalnego centrum. Zachodzą one dwutorowo: w kontekście dominacji przez główne ośrodki na obszarach aglomeracyjnych lub presji marginalizacji poza nimi. Niejednokrotnie stwierdzam, że podobne struktury, formy oraz cele zagospodarowania przestrzeni mogą rozwijać się – mimo istniejących różnych krajowych systemów i tradycji planowania – także między przedstawicielami takich samych typów miast w dwóch różnych krajach. Jest to uwarunkowane przede wszystkim porównywalnymi przestrzennymi i społeczno-ekonomicznymi wyzwaniami oraz warunkami ramowymi, a mniej unijnymi wytycznymi. Dotychczasowe wyniki opierają się nie tylko na analizie dokumentów planistycznych opisywanych miast, lecz również na wywiadach i rozmowach z licznymi aktorami gospodarki przestrzennej w badanych przeze mnie miejscowościach.

Niniejszy projekt, uwzględniający małe i średnie miasta położone również z dala od pogranicza polsko-niemieckiego, przygotowałem w oparciu o badania pilotażowe w Słubicach-Frankfurcie nad Odrą oraz w dwóch innych polsko-niemieckich dwumiastach. Trzeba podkreślić w tym kontekście znaczenie tychże miejscowości jako „laboratoriów” w szerokim, czyli także w naukowym rozumieniu. Ich specyfika odgrywa również istotną rolę w innym moim projekcie, dotyczącym wpływów coraz bardziej otwartej polsko-niemieckiej granicy państwowej na przestrzeń religijną. Także tutaj centrum rozważań stanowią zagadnienia otwarcia i izolacji, jak też pytanie, na ile wpływ „obcych” elementów w tym zakresie prowadzi do zmiany lub umocnienia własnej tożsamości. Temat ten był nota bene przedmiotem kilku interdyscyplinarnych



Dr Alexander Tölle z Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego w Słubicach

konferencji międzynarodowych zorganizowanych w ostatnich czterech latach przez Polsko-Niemiecki Instytut Badawczy. Wspomnieć warto tu m.in. sympozjum, dotyczące znaczenia religii w przestrzeni transnarodowej oraz konferencję, poświęconą roli protestantyzmu w polsko-niemieckim dialogu na pograniczu. Ta ostatnia została przeprowadzona w kwietniu ubiegłego roku z okazji Jubileuszu 500-lecia Reformacji (wkrótce ukaże się również tom pokonferencyjny). W ramach ostatniego z wymienionych wydarzeń podjąłem kwestię polsko-niemieckich oraz ekumenicznych relacji między parafiami w Słubicach-Frankfurcie nad Odrą oraz w tzw. Euromieście Gubin-Guben. Również w tym przypadku nie da się zaobserwować ogólnego zaniku kulturowych i wyznaniowych granic; jednakże pojawiły się środowiska i aktorzy potrafiący wykorzystać konkretne okoliczności i możliwości w celu poszerzenia horyzontów współpracy ponad granicami. I przede wszystkim z tego powodu cenię sobie daną mi możliwość prowadzenia działalności naukowo-badawczej tutaj, nad Odrą. Dr Alexander Tölle Polsko-Niemiecki Instytut Badawczy w Collegium Polonicum w Słubicach.

Alexander Tölle

Rektor z pistoletem (w kieszeni)

Z pistoletem i stalową ciupagą usiłował odbić zajęte budynki uniwersytetu; uciekał się do zaiste zagłobowych forteli, by ominąć prawne przepisy, grożące zabranieniem uczelni gruntów – wielki uczonec i społecznik, ale trochę i watażka: prof. Edward Lubicz Niezabitowski, przyrodnik i lekarz.

Gorącą krew odziedziczył po przodkach. Profesor zbierał wiadomości genealogiczne o swojej rodzinie, toteż w jego spuściźnie znajdziemy opowieść np. o Ludwiku Niezabitowskim, który łupi Brzozów i Jaśliśka, ograbia i pali miasteczko Radymno, obdziera chłopów, a zachwalstwo swoje posuwa tak dalece, że zrywa sejmik w Sądowej Wiszni, aż Aleksander Maksymilian Fredro wyjmując szablę i woła: rozsiekać go! Salwuje się ucieczką, a potem obejmuje zamek przemyski jako samozwańczy marszałek. Jest i Jakub Niezabitowski, który zabił niejakiego Gabriela Sadowskiego, a potem „jedną się o głowę” z jego bratem (taka pozasądowa umowa była zabroniona). To XVII wiek. Wiek XIX przynosi listę Niezabitowskich, którym powrót do kraju był wzbroniony za udział w powstaniu listopadowym, a wkrótce i ojciec Edwarda, członek rządu Traugutta, musi przenieść się do Wielkopolski po upadku powstania styczniowego.

Mały przyrodnik

To dlatego Edward rodzi się w Bugaju koło Miłosławia w roku 1875. Jeszcze nie umie czytać, a już jest przyrodnikiem, zbierającym skamieliny i muszle i systematyzującym je według kształtu. Jako siedmiolatek dostaje fuzję i wólczy się po lasach i polach. Przypatruje się też małym operacjom, które starszy brat jego, student medycyny, wykonuje w czasie wakacji. Szczególnie wiele dały mu kontakty z Filipem Skoraczewskim, słynnym leśniczym wielkopolskim. Należącą do Skoraczewskiego kolekcję wypchanych ptaków i ich jaj umieści potem Niezabitowski w poznańskim Muzeum Przyrodniczym.

Rodzina Niezabitowskich przenosi się do Krakowa (przymusowo, wyrzucona przez Bismarcka), potem do Przemysła, wreszcie osiada w Komarnem. Edward Niezabitowski chodzi już do przemyskiego gimnazjum, gdzie spotyka wspaniałych nauczycieli przyrody. Uczy się m.in. preparować owady. Jest tak dobry, że samodzielnie prowadzi wykłady dla uczniów, a jeden wygłasza nawet przed Michałem Bobrzyńskim, wizytującym ck gimnazjum. Na świadectwie maturalnym stopnie nie najgorsze, ale tylko jeden celujący – z przyrody. Po ponad 50 latach tak wspomina: *ucząc się przed maturą wczesnym rankiem w rozległym parku zamkowym Przemysła, obserwowałem parę syczków, jednego z najrzadszych ptaków polskich. Scena jak z „Syzyfowych prac” – tylko zamiast Biryty młodzieńca fascynuje para rzadkich sówek....*

Wielmożny Pan, słuchacz medycyny

Kiedy na Uniwersytecie Jagiellońskim rozpoczyna studia medyczne, „po krótkiej, ciężkiej słabości” umiera jego ojciec. Edward postanawia odtąd utrzymywać się sam. Występuje o sty-

pendium (udowadniając pochodzenie szlacheckie, co było konieczne), a kiedy go nie otrzymuje, unosi się honorem i nie prosi już o żadne. W spuściźnie zachował się liścik do „Wielmożnego Pana Edwarda Niezabitowskiego, słuchacza medycyny”: *Szanowny Panie. Nie rób Pan kochany głupstwa i zanieś Pan podanie o jakiegokolwiek stypendium. Zarobek zabiera czas Panu, a tego masz Pan mało. To moja rada – cieszyłbym się, byś Pan mógł swobodniej oddać się studium. Podpisane Blauth i dopisek: Mamie Dobrodzieja uszanowanie.*

Oprócz medycyny słucha wielu wykładów z zoologii, botaniki i mineralogii. Za zaoszczędzone 120 guldenów wyjeżdża w 1897 roku na południe, nad Adriatyk, wszędzie oczywiście zwiedzając muzea przyrodnicze (drogo opłaci tę podróż, bo po powrocie mimo celujących wyników, nie zwolniono go z czesnego, uznając, że skoro stać go na podróż, stać i na czesne). Odbędzie tę podróż raz jeszcze. Tym razem zafundują ją rodzice chłopca, wyleczonego przez Niezabitowskiego z historycznych napadów konwulsji, a potem jeszcze raz – już jako nauczyciel nowotarskiego gimnazjum. Na krakowskim uniwersytecie nie było miejsca na własny zakład, więc aby zarabiać, zdecydował się na zawód nauczyciela. W spuściźnie zachował się dyplom ukończenia kursów nauczycielskich, gdzie na 4 stronach zanotowano każde zadane kandydatowi pytanie, nie tylko z przyrody, ale także z matematyki czy języka polskiego.

Epoka nowotarska

W Nowym Targu spędzi 16 lat. Stworzył tam gabinet przyrodniczy, wyposażony jak najlepsze laboratorium. Będą w nim wypchane zwierzęta, ogromne akwaria, najnowocześniejsze mikroskopy, a nawet aparat rentgenowski. Za własne pieniądze ufunduje ambulatorium szkolne (pierwsze w Polsce), gdzie za darmo leczy uczniów, a nawet plombuje zęby. Za te osiągnięcia, jak głosi zachowane w spuściźnie pismo, *Je-go Cesarska i Królewska Apostolska Mość najwyższem postanowieniem z 8 sierpnia 1910 raczył najmiłościwiej nadać Panu złoty krzyż zasługi z koroną.*

Od 1903 roku żonaty jest z Leonią Schille, córką entomologa, kolekcjonera motyli. Zachowało się napisane koronkowym piśmem zaproszenie na ślub, który odbył się we „wtorek, 25 sierpnia 1903 roku o godz. 7 wieczór” w Barcicach.

Jeszcze jako nauczyciel gimnazjum (miał już wtedy na koncie ok. 30 różnych rozpraw naukowych) zostaje wezwany do zbadania szczątków mamuta, znalezionych w Staruni. Urlopowany z gimnazjum odbywa podróż po muzeach Europy od Londynu po Wenecję, aby porównać je z innymi znaleziskami paleontologicznymi. Staje się, jak pisze Józef Kostrzewski w 1956 roku w recenzji jego książki, największym w swoim czasie znawcą fauny prehistorycznej. Po tym objeździe zyskuje jeszcze stypendium Osławskiego i jedzie na Lazu-

▲ **Córka prof. Niezabitowskiego była artystą plastykiem. Znana w Poznaniu z szycia sukien dla pań z towarzystwa. Były to głównie suknie balowe, a właściwie dzieła sztuki o skomplikowanym kroju i unikatowych dodatkach. Choćby granatowa z grubej tafty wytłaczanej w kwiaty z renesansowym dekoltem zdobnym heliotropem, czy złota, z jedwabnego rypsu z fioletoowymi i brązowymi jedwabnymi różami przy gorsie... Dziś zostałyby zapewne słynnym kreatorem mody.**

rowe Wybrzeże do Villefranche-sur-Mer (tak, tam, gdzie Jan Kulczyk miał swój pałacyk) do rosyjskiego laboratorium zoologii, gdzie znowu wzbogaca swą wiedzę, tym razem o ichtiologię.

Wraca do Nowego Targu. Wybucho I wojna światowa. Niezabitowski urzęduje w gimnazjum szpitala polowy, do którego trafia jego brat z urwaną szrapnelem stopą. Gdy zbliża się rosyjski front, nie chcąc, aby brat poszedł do niewoli, ucieka wraz z nim i tym razem obejmuje szpital garnizonowy w Mariborze (dzisiaj Słowenia). I znów, gdy po latach pisze swoje wspomnienia, przypomina sobie sikorki i zięby, które na moście mariborskim jadły mu z ręki...

Poznańskie przygody

W 1921 roku Święcicki zaprasza go na katedrę biologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Na skutek różnych zawirowań, w czym nie miały udziału ma zarówno zapalczywość Niezabitowskiego, jak i intrygi kolegów, przechodzi na Wydział Przyrodniczo-Leśny, którego zostaje dziekanem. Strzelcy kurkowi, przenosząc się na Szeląg, sprzedali swój dawny budynek uniwersytetowi. Uczelnia pieniądze złożyła w depozycie, bo budynek nie był jeszcze w pełni opuszczony. Z powodu galopującej inflacji pieniądze stopniały, więc grupa strzelców – uzbrojona i podchmielona – zajęła z powrotem budynek. Stawił im czoło tylko Niezabitowski z pistoletem (w kieszeni) i wożnym. Po kilku interwencjach sądowych udało mu się wyłamać i wymienić zamek, budynek obsadzić ludźmi z folwarku i zachować dla uniwersytetu.

W 1928 roku Edward Lubicz Niezabitowski zostaje rektorem uniwersytetu. Skarży się, że w związku z PeWuKą i 10-leciem odzyskania niepodległości musiał wygłosić 150 oficjalnych mów, uczestniczyć w rautach i bankietach. Jako rektor właśnie użył godnego Zagoby fortelu, by zatrzymać dla uczelni tereny, na których dziś stoją kliniki przy Polnej. Bank Spółek Zarobkowych miał na Jeżycach duże grunty, a chcąc podwyższyć ich cenę (pod rozważę dzisiejszym deweloperom!) podarował część uniwersytetowi z zastrzeżeniem, by w ciągu 3 lat uczelnia rozpoczęła tam budowę. Uczelnia nie miała pieniędzy, minęły 3 lata. Gdy do Niezabitowskiego dotarły pogłoski, że bank zażąda zwrotu darowizny, nakazał ogrodzić teren, zwieźć trochę cegieł i wapno. A gdy w rektoracie zjawił się dyrektor banku z żądaniem oddania terenu, Niezabitowski poinformował go, że... właśnie zaczęto budowę.

Przyrodnik i lekarz

Można by przytoczyć jeszcze kilka anegdot, charakteryzujących go jako osobę zadziorną i łatwo unoszącą się i to w czasach konfliktowych, gdy – jak sam pisze – połowa senatu uczelni to byli endecy, a połowa zwolennicy sanacji, zaś posiedzenia senackie trwały do 4 rano ze względu na zażarte spory. Jednak trzeba uważać, by nie przesłoniło to jego – niezwykle szeroki – zainteresowań i dokonań naukowych. Pisano o nim, że to już ostatni przyrodnik starego typu, ogarniający całość wiedzy o naturze. Zgromadził liczne zbiory okazów przyrodniczych – można powiedzieć, że praktycznie w każdym miejscu, gdzie pracował, tworzył bogate zasoby naukowe. Jego dziełem



ŹRÓDŁO: POLSKA AKADEMIA NAUK ARCHIWUM W WARSZAWIE ODDZIAŁ W POZNANIU, MATERIAŁY EDWARDA LUBICZA – NIEZABITOWSKIEGO (1875-1946), SYGN. P.III-3

Stoją od lewej: Adam Wodziczko, dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, Julian Rafalski – Wydział Rolniczo-Leśny, Adam Kleczkowski – Wydział Humanistyczny, Stefan Zaleski – Wydział Prawno-Ekonomiczny. Siedzą od lewej: Edward Lubicz Niezabitowski, prorektor, Stanisław Kasznica, rektor, Paweł Gantkowski – dziekan Wydziału Lekarskiego

było Muzeum Przyrodnicze w Poznaniu, niegdyś w wielkim rozkwicie, także jako jedna z atrakcji PeWuKi, w którym umieścił m.in. kolekcję motyli swojego teścia i kolekcję Filipa Skoraczewskiego. Zbiory, biblioteki i aparatura uległy w większości zniszczeniu. W czasie II wojny światowej Niemcy ogołocili jego willę na Solaczu, zbombardowali dom w Warszawie, wynieśli w koszach i wyrzucili na śmietnik wyposażenie jego Zakładu Biologii. Najbardziej bolał nad stratą zbioru mączekowatych – okazów i notatek, stanowiących owoc 30 lat pracy. Napisał ponad 150 prac, a jego praca doktorska napisana w wieku 25 lat dotyczyła pionierskiego zagadnienia fauny owadów na zwłokach (do określenia czasu zgonu). Dzieło jego życia „Stosunek człowieka do zwierząt w Polsce od paleolitu do średniowiecza” ukazało się dopiero pośmiertnie. Wcześniej rozumiał znaczenie ochrony przyrody. W spuściźnie znajdziemy uroczy list właściciela *Pierwszej Wielkopolskiej Desinfekcji*. To odpowiedź na artykuł Niezabitowskiego „Nie trujmy przyjaciół”, o tym, że przy okazji trucia gryzoni giną ptaki drapieżne. Właściciel *Desinfekcji* pisze z patosem: „Szczury są syfistyczne. Kto szczury tępi, zasługuje się nad wyraz gospodarce narodowej” i poleca do trucia swój preparat zarazków moru zamiast fosforu, zabijającego ptaki.

Niezabitowski był także czynnym lekarzem. Szczególnie zasłużył się w leczeniu biednych górali nowotarskich. W spuściźnie zachował się obszerny spis na cieniutkich bibułkach z łacińskimi tytułami „cor” czy „arteriosclerosis”, zawierający opis składników różnych skutecznych leków. We wspomnieniach opisuje wiele ciekawych przypadków, w tym opatrzonej przez niego góralki, której krowa rozpruła brzuch tak, że jelita znalazły się na zewnątrz, a przenoszący chorobę zawinęli je jak tłumoczek w brudną płachtę od trawy. Mimo praktycznie beznadziejności przypadku, kobieta szybko wyzdrowiała, co – jak pisze z humorem Niezabitowski – górale przypisywali temu, że to... „okrutnie zła baba była”.

Ciężkie przeżycia wojenne i straty niweczące jego dorobek naukowy przyczyniły się do pogorszenia jego stanu zdrowia. Wrócił do Poznania, ale nie podjął już pracy. Zmarł 5 listopada 1946 roku.

Poznański oddział Archiwum PAN zawiera 175 zespołów – to spuścizny wybitnych poznańskich uczonych. Dokumenty, listy, fotografie zawierają informacje ważne, a czasem zabawne i wzruszające. Mówią to, czego nie powie krótka notka biograficzna. W kolejnych numerach „Życia” będziemy poprzez fragmenty tych spuścizn pokazywać sylwetki uczonych, aby w ten sposób i ci wielcy poprzednicy mogli być obecni w obchodach 100-lecia naszego uniwersytetu.



▲ Łotewski dyrygent Ainars Rubikis, trzecim występem w Poznaniu (2. II), ugruntował opinię artysty najwyższej klasy, stale pomnażającego w świecie swe sukcesy. Od pierwszego taktu Uwertury do opery „Rienzi” Ryszarda Wagnera, skupił uwagę i wywołał wyjątkowe napięcie słuchacza, a w trwającej ponad godzinę VII Symfonii Antona Brucknera, tzw. „Wagnerowskiej”, doprowadził emocje do zenitu. Filharmonicy – soliści i muzycy wszystkich grup instrumentalnych – perfekcyjnie odczytali zamysły interpretacyjne dyrygenta. Zachwycili także współbrzmieniem z solistką wieczoru, 24-letnią Mariam Batsashvili. Gruzińska pianistka – zwyciężczyni dwóch międzynarodowych konkursów im. Ferencza Liszta w Weimarze i w Utrechcie – stworzyła porywającą kreację I Koncertu fortepianowego patrona tych turniejów. Wrażenia dopełniła bisem – słynnym Menuetem Ignacego J. Paderewskiego. Wprowadzenie słowne Marleny Gnatowicz-Drobnik.

▲ Nadzwyczajną też radość swym słuchaczom sprawiała (7. II) Orkiestra Kameralna Polskiego Radia „Amadeus”, zapraszając na wspólny koncert muzyków Jazz at Lincoln Center Orchestra z jej założycielem i szefem, legendarnym trębaczem Wyntonem Marsalisem, który po 24 latach przybył do nas ponownie. Najpierw poznaniacy z nowojorczykami, pod dyr. Anny Duczmal-Mróż, zagrali instrumentalne transkrypcje (w oprac. Agnieszki Duczmal i gości) cyklu fortepianowego „Obrazki z wystawy” Modesta Musorgskiego. Po przerwie dominowały przeboje Duke’a Ellingtona i ich wykonawcy: 15-tu fenomenalnych muzyków, prezentujących się po kolei – jako soliści i jako zespół Marsalisa. W liczeniu bisów pogubiłem się...

▲ 466. Koncert Poznański (10. II) był znów (niestety!) powtórzeniem styczniowego (26. I), piątkowego wieczoru filharmoników, omówionego na tych łamach w poprzednim numerze. Wypełniły go „Tańce z różnych stron”. Z Orkiestrą FP wystąpili soliści: Łukasz Dyczko – saksofon i Magdalena Myrczyk – marimba. Dyrygował Marek Pijarowski.

▲ Skrzypek Mariusz Patyra – dotąd jedyny Polak, zwycięzca Konkursu im. Paganiniego w Genui – wystąpił (12. II) z recitalem, promującym swą nową płytę „Vivaldi The Four Seasons Simple The Best”.

▲ Chiński Nowy Rok otworzył (17. II) – w 30-lecie sinologii na UAM – koncert Sinfonietty Polonia, dobrze już u nas znanej orkiestry pod dyr. Xiao Minga z udziałem polskiej skrzypaczki Blanki Bednarz oraz młodych chińskich śpiewaków – studentów poznańskiej Akademii Muzycznej: Wang Shanshan (sopran) i Zuo Chaoran (tenor). Wieczór zorganizowała Fundacja Muzyczna „Apollo” i działający od 10 lat w Poznaniu Instytut Konfucjusza.

▲ Adam Makowicz – jeden z najwybitniejszych polskich pianistów jazzowych – wystąpił (23. II) z recitalem popularnych standardów i kompozycji, promujących najnowszą płytę artysty „Swinging Ivories”. Koncert odbył się w ramach dorocznej uroczystości redakcji „Głosu Wielkopolskiego” wręczania – już po raz 40. – Medali Młodej Sztuki.

▲ Lutowy Speaking Concerts (25. II) był walentynkowym upominkiem Fundacji „Fabryka Sztuki” dla wiernego już – głównie młodego – grona wielbicieli tego cennego cyklu upowszechnieniowego. Jego twórca, narrator i dyrygent – Marcin Sompoliński zafascynował tym razem tematem: muzyka i miłość. Swą barwną opowieść wywiódł aż od starożytnych Greków. Ilustrował licznymi wstawkami filmowymi i przykładami twórczości m.in. W. A. Mozarta i G. Rossiniego, których operowe arie i duety śpiewali Marzena Michałowska (sopran) i Łukasz Motkowicz (baryton). Legendę H. Wieniawskiego zagrał Marcin Suszycki, koncertmistrz filharmoników i Orkiestry Collegium F, która – obok akompaniamentów solistom – popisała się na koniec piękną interpretacją Uwertury – fantazji „Romeo i Julia” P. Czajkowskiego. Była też prezentacja Tanga A. Piazzolli z parą tancerzy – Anną Czartoryską i Michałem Kaczmarkiem oraz z bandoneonistą Wiesławem Prządka. W finale pierwszej części wystąpił spontanicznie sformowany kwartet rewelersów w składzie: Michał Łaszewicz, Paweł Mazur, Mikołaj Rykowski i sam Marcin Sompoliński – z przypomnieniem słynnego przeboju „Jeżeli kochać, to nie indywidualnie...” I z tą urokliwą melodią, wielu słuchaczy tego wieczoru opuszczało aulę. (rp)

Czekamy na Wasze



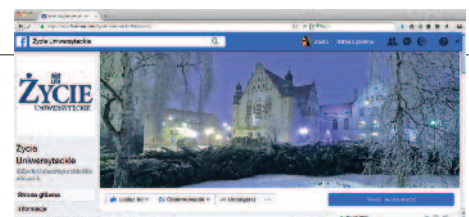
ŻYCIE
UNIWEKSYTECKIE

UAM POZNAŃ
nr 3/4 (294/295) | marzec/kwiecień 2018

Wydawca:
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Rektorat, 60-712 Poznań,
ul. Wieniawskiego 1

e-mail: redakcja@amu.edu.pl
www.zycie.amu.edu.pl

REDAKTOR NACZELNY: Krzysztof Smura, krzsmu@amu.edu.pl
SEKRETARZ REDAKCJI: Magda Ziółek, magdazio@amu.edu.pl
REDAKCJA: Maria Rybicka, Jolanta Lenartowicz,
Danuta Chodera-Lewandowicz, Filip Czekala, Aleksandra Polewska,
Romuald Polczyński, Przemysław Stanula
FOTO: Łukasz Woźny, fotograf@amu.edu.pl
KOREKTA: Maria Nowak



ADRES REDAKCJI:
ul. Święty Marcin 78 (2 piętro), 61-809 Poznań
BIURO REDAKCJI: Marta Tarczyńska
OPRACOWANIE GRAFICZNE: Zosia Komorowska
DRUK: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmiany tytułów.
Za treść zamieszczanych ogłoszeń, reklam i komunikatów redakcja nie odpowiada. Zapraszamy do wszechstronnej współpracy.

Numer do druku oddano 19 marca 2018 r.



prosto z facebooka...



Sesja zdjęciowa do filmu promującego polską branżę kosmetyczną. Wydział Chemii UAM



Czek na 37 603 945,34 zł odebrali w imieniu UAM prorektorzy prof. Ryszard Naskręcki i prof. Marek Nawrocki. Pieniądze zostaną przeznaczone między innymi na unowocześnienie dydaktyki



Zespół futsalistek KU AZS UAM Poznań zdobył srebrny medal Mistrzostw Polski seniorek



Konferencja „GIS Day UAM Piła 2018” poświęcona była szerokim zastosowaniom technologii geoinformatycznych w różnych sektorach gospodarki oraz w życiu codziennym



W Auli Lubrańskiego Collegium Minus UAM odbyło się uroczyste odwołanie doktoratu prof. Marii Kujawskiej



Teatr Granda zdobywcą Grand Prix oraz Nagrody Publiczności na V Festiwalu Teatrów Studenckich Start! Grupa powstała w 2014 roku dzięki inicjatywie Witolda Kobyłki oraz dr Magdaleny Grendy z Instytutu Kulturoznawstwa UAM. Na Festiwalu wystąpili ze spektaklem Umbra.



Odbyło się seminarium poświęcone uczelnianym rankingom. W rankingowy klimat wprowadził uczestników prof. Tadeusz Wallas



Koncert Pameli Howland poświęcony Chopinowi i... grupie The Beatles wypełnił słuchaczami Aulę Lubrańskiego

